7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE

Nakład 30.000 egz.

ROK II Nr. 2

12 stycznia 1930 r.



Karnawał w pełni... Murzyni na dancingach — nawet z blondynkami cieszą się szalonem powodzeniem.

(fot. Fox)

ROK 1929 W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ

Rok 1929 nie był rokiem wiekopomnym. Nie zapisał się ani krwawemi, ani złotemi zgłoskami na kartach historji, nie wyrył swego imienia ani w spiżu, ani w sercach ludzkich. A jednak nie był rokiem gorszym od innych, ani mizerniejszym. Obalał rządy, poniżał jednych, wynosił drugich, tych powaśnił ze sobą, tamtych pogodził, tu uderzył w surmy bojowe, tam zakołysał dzwonem pokoju, rozdzierał traktaty, spisywał inne — słowem, dał biednej ludzkości zakosztować bez wyjątku wszystkiego, ale w miarę, w dawkach znośnych ,bez przesady.

Najpoważniejszem bezwątpienia wydarzeniem ubiegłego roku było podpisanie w pałacu laterańskim umów, likwidujących kwestję rzymską. Dobrowolny więzień Watykanu odzyskał wolność. Rzym papieski pogodził się z Rzymem królewskim i świat katolicki odetchnął z ulgą. Układy laterańskie mają znaczenie głębsze, niż pojednanie formalne Watykanu z Kwirynałem. Przez pojednanie to Kościół katolicki uzyskał nowe narzędzie swej polityki, rozszerzył swe dziedziny i podniósł autorytet, Państwo włoskie zyskało naturalnego sprzymierzeńca w tych wszystkich poczynaniach, w których interesy Kościoła mogą iść równolegle z interesami Włoch, a więc przedewszytskiem w ekspansji mocarstwowej włoskiej na Bliskim i Dalekim Wschodzie.

Drugim doniosłym faktem było podpisanie w Hadze układu, planującego ostateczną likwidację problemu odszkodowań, a z nim razem wszystkich kwestji, związanych z niewykonaniem postanowień traktatów pokojowych. Jakkolwiek przez wprowadzenie w życie planu Young'a, który stał się podstawą rokowań haskich, głównie korzyści odnoszącą stroną będą Niemcy, to jednak odprężenie w tej kwesji, która stanowiła przez dziesięć z górą lat zasadniczą oś wszystkich problemów powojennych, leży w interesie całej Europy. Świet polityczny przyjął z ulgą rezultaty pierwszej konferencji haskiej. Zaświtała nadzieja powrotu normalnych czasów, w których możliwe jest sumowanie własnych pasywów i aktywów i ułożenie racjonalnych programów pracy na przyszłość. Wprawdzie układ nie jest jeszcze ostateczny. Niemcy, a przynajmniej pewna część społeczeństwa niemieckiego, zżyma się i dąsa, ale powrót do sytuacji poprzedniej wydaje się niemożliwy i z tego powodu wynik dodatni nowej konferencji haskiej, która właśnie rozpoczęła swoje obrady, jest więcej niż prawdopodobny.

W układzie sił politycznych w świecie zaszły rozmaite zmiany. W Anglji wynik wyborów przyniósł w konsekwencji odejście od władzy konserwatystów i objęcie steru rządów przez socjalistów. Poraz drugi już socjaliści angielscy przyjęli na siebie odpowiedzialność za bieg nawy państwowej, ale nauczeni doświadczeniem pierwszego okresu, jęli się swego dzieła znacznie przezorniej, znacznie ostrożniej. Pozytywnem dziełem p. Mac Donalda było zbliżenie że Stanami Zjednoczonemi na gruncie zagrażającej światu detronizacji rasy anglo-saskiej. Przewaga Anglji na kontynencie europejskim zaczęła na dobre maleć w związku z wzrostem autorytetu Francji, a przemoc dolara wskutek dziwnych powikłań finansowych, zaczęła się obracać przeciw jego przemożnym właścicielom. Kryzys giełdowy w St. Zjednoczonych, zaburzenia w cyrkulacji złota na świecie szły równolegle z porozumieniem anglo-amerykańskiem w kwestji utrzymania równości sił morskich obu tych mocarstw, a roztropna polityka nowego prezydenta Stanów, p. Hoovera, którym rok ubiegły obdarzył Amerykę, w wysokim stopniu ułatwiała Anglji te roztropne poczynania. Drobne, bardzo drobniutkie narazie, ale mimo to szczerby, zaczyna wyszczerbiać życie w doktrynie Monroe'go i choć Stany Zjednoczone wciąż jeszcze wyrzekają się związków politycznych z Europą, ale mimo to już są członkiem Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej i uchyliły wąsko, wąziuteńko furtki dla współpracy z Ligą Narodów.

Pakt Kelloga, kórym rok przedostatni uwieńczył swe czoło, wszedł w życie dla wielkiej chwały pacyfistów, wśród których obok mocarstw zachodnich, St. Zjednoczonych i Polski znalazła się również i Rosja Sowiecka. Sowiety były nawet tak skwapliwe w dziele pokoju, że przeprowadziły wcześniejsze obowiązywanie postanowień paktu dla państw wschodnich Europy w protokule Litwinowa. Wprawdzie pakt Kelloga wszedł w życie i protokół Litwinowa utracił wogóle znaczenie, ale Sowiety otoczyły się nimbem pacyfikatorów świata.

Okazało się jednak, że nawet i Sowiety przewrotność sąsiada może wyprowadzić z równowagi. Chińczycy, idąc konsekwentnie po drodze wyzwalania swej ojczyzny z pod wpływów obcych, dokonali zamachu na kolej wschodnio-chińską, zresztą usprawiedliwionego tem, że bolszewicy nadużywali swych stanowisk na kolei dla stworzenia ognisk propagandy komunistycznej. Wynikła z tego zawierucha. Rząd Sowietów siłą upomniał się o swoje prawa, wkroczył w granice Mandżurji i tylko poczucie własnych swych trudności, związanych tradycyjnie z każdem prowadzeniem wojny na Dalekim Wschodzie, powstrzymało dalszy pochód w głąb kraju. Sprawa nabrała bardzo brzydkiego wyglądu w świetle niedawno podpisanego paktu o nieagresji, którego obie strony są sygnatarjuszami. Na zwrócenie na fakt ten uwagi rząd bolszewicki odpowiedział mocarstwom w dość bezceremonjalny sposób, z którego wynikała kwintesencja, iż nie należy wtykać palców między drzwi, niemniej jednak, aczkolwiek z powodów odmiennej natury, kroki wojenne na Dalekim Wschodzie zostały przerwane, rokowania między Moskwą, a Mukdenem nawiązane i zapewne obie strony znajdą sposób wycofania się z sytuacji, w której obie nader źle się czują.

Chinom jest nie do wojny, bo wciąż jeszcze problem pokoju wewnętrznego, zaprowadzenia ładu i ustalenia bytu państwowego jest problemem najbardziej dla nich żywym. Rząd nankiński, mimo ataków z różnej strony, utrzymał się przy władzy, a to już bardzo wiele. Zachował także pozory rządu centralnego i skierował Chiny na drogę zrzucania ze siebie obcej supremacji. Traktaty kapitulacyjne zostały wypowiedziane, a choć mocarstwa nie wyraziły swej zgody, faktycznie jednak system uprzywilejowania cudzoziemców został naruszony. Reszty dokona kalkulacja interesów materjalnych i współzawodnictwo między mocarstwami.

Anioł pokoju stanowczo odwrócił swe oblicze od Wschodu. W Afganistanie wrzenie rewolucji i walk domowych wynosiło kolejno na powierzchnię różnych pretendentów i uzurpatorów. Amanullah ostatecznie tron postradał, ale najsmutniej wypadła dola „Syna Woziwody", Bacza Sakao, vel króla Habibullaha, który zaniósł swą niespokojną głowę pod pętlę szubienicy. Dziś w Kabulu panuje miłościwie z Bożej łaski i woli ludu Nadir Chan, były poseł afgański w Paryżu i ostateczny triumfator w Afganistanie.

A Polska? Sytuacja Polski na terenie międzynarodowym utrwala się, autorytet jej wzrasta, a, żeby nie używać pustych słów, najlepiej mówić mową faktów. Polska została ponownie wybrana do Rady Ligi Narodów i reelekcja jej jest miarą jej znaczenia w Lidze. Anglja, Włochy i St. Zjednoczone podniosły swe poselstwa w Warszawie do godności ambasad, a fakt ten równa formalnie Polskę z mocarstwami świata i jest świadectwem jej powagi w kole najdostojniejszych. Rokowania handlowe z Niemcami weszły w stadjum decydujące i jest rzeczą oczywistą; że nasz sąsiad zachodni nabrał wreszcie zrozumienia wartości dla siebie Polski gospodarczej. Sąsiedzi wschodni: Rumunja, Państwa bałtyckie idą ręka w rękę z Polską w ważniejszych dla siebie sprawach: exemplum — protokuł Litwinowa i nawet Litwa zaczyna rozumieć, iż uparte odrzucanie normalnych stosunków z Polską jest dla niej bardziej szkodliwe niż pożyteczne.

Dr. J. G.



Ali Ahmed Khan, brat króla afgańskiego, został mianowany posłem Afganistanu w Paryżu. (Fotografji dokonano w konsulacie w Paryżu.



Feliks Roderyk-Łabuński, laureat konkursu kompozytorskiego „Muzyki", wice-prezes Stow. Młodych Polaków Muzyków w Paryżu.



Margaret Ingeli z East Orange (N. Y.) została mianowana szefem wydziału biura badań nad stworzeniem najlepszych warunków atmosferycznych w mieszkaniach.



Nelson Rockefeller, młodszy syn słynnego miljardera amerykańskiego, ożenił się z Miss Marry Todhunter Clark.



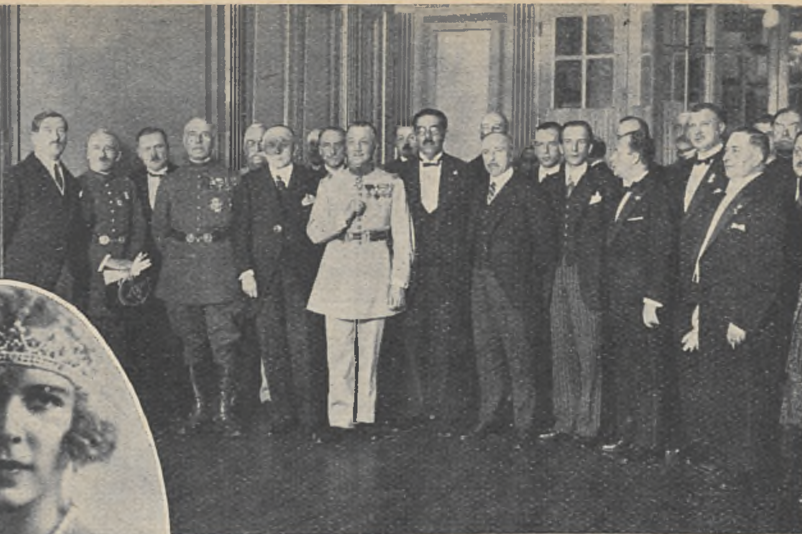
Inż. Władysław Czlenow, przedstawiciel polskich fabryk maszyn rolniczych Bułgarji, zapewnił dzięki energicznej działalności, stały zbyt polskich towarów w tym kraju.



Ambasador polski, p. Chłapowski. wychodzi z pałacu elizejskiego po złożeniu życzeń noworocznych Prezydentowi Francji.



Ostatnia fotografja księżniczki belgijskiej Marji Jose, której zgotowano przed zaślubieniem włoskiego księcia Umberto gorące przyjęcie w całej Italji-



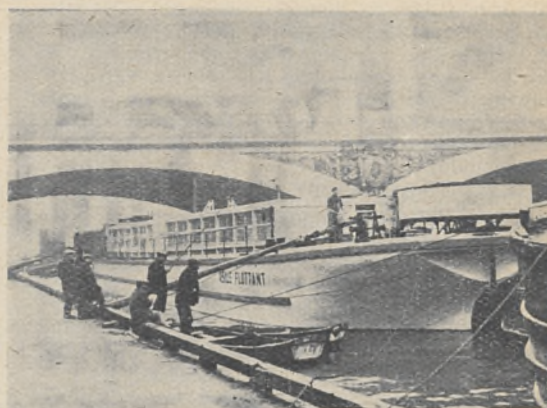
Z pobytu delegacji polskich oficerów rezerwy w Paryżu. Rodacy nasi na przyjęciu w Cyrcle Militaire.



Znany kierowca samochodowy Malcolini Pope demonstruje szczegóły łodzi rakietowej, na której osiągnął szybkorć 40 mil angielskich na godzinę.



Gazeta ścienna, t. zw. „stangazieta", jest czynnikiem propagandy, któremu przypisują w Sowietach ogromne znaczenie. Podobne gazety wydawane są w różnych językach.





Armja Zbawienia w Paryżu przysposobiła przytułki dla bezdomnych na olbrzymich barkach (70 m. długości na 8 m. 50 szerokości.



Małżonka Prezydenta Hoovera zakupuje znaczki Twa przeciwgruźlicznego, sprzedawane przez dziatwę podczas okresu świąt w miastach amerykańskich.



Pałac w Turynie, w którym zamieszka po ślubie książęca para italska. (Fot. Atlantic)



Rasowa sportsmenka nie boi się chłodu... Znana pływaczka angielska, miss Agnes Nicks, trenuje codziennie w lodowatej wodzie, a pływające kry są dla niej zabawką.

MARJAN HEMAR

POCHWAŁA DOMOWEGO ZACISZA

(Prelekcja radjowa po Sylwestrze)

Szanowni słuchacze! Spotyka mnie dziś prawdziwa przyjemność, jako prelegenta, iż znajdujemy się w tej chwili w szczupłem, ale bardzo dobranem towarzystwie. W szczupłem — ponieważ bardzo niewielka ilość radjo-abonentów zdołała do tej pory wyspać się, względnie otrzeźwieć po wczorajszej wspaniałej zabawie. Ci, którzy zlekka przyszli do siebie mają teraz kociokwik, boli ich głowa, zadużo wydali pieniędzy, za wiele porobili awantur i zbyt mocno popsuli sobie żołądeczki. A jednak, pośród tej falangi sylwestrowych niedobitków znalazło się kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu sprawiedliwych, którzy postękując, nałożyli sobie teraz słuchawki na rozbolałe czoło, aby wysłuchać pierwszego w tym roku literackiego feljetonu.

Panowie! Wy wszyscy, którzy słyszycie te słowa, wy to właśnie jesteście tem nielicznem, dobranem towarzystwem prelegenta, jesteście tą kadrą prawdziwych miłośników literatury. Z boleścią wpada mi w tej chwili na myśl, że pomiędzy nami, znajduje się jeden człowiek niegodny tych słów, jeden człowiek, który nienawidzi literatury z głębi swej wielkiej goryczy. Boli mnie to bardzo, albowiem tym człowiekiem jestem ja.

Wróciłem dziś do domu o jedenastej rano. Robiłem przez całą noc i poranek wiele rzeczy zabawnych i dyktowanych raczej temperamentem, niż rozsądkiem — na szczęście niewiele sobie z tego przypominam. O jedenastej rano zasiadłem do pisania tego feljetonu, który — jak mi to poleciły surowe władze polskiego radja — ma być dowcipny, wesoły i pogodny.

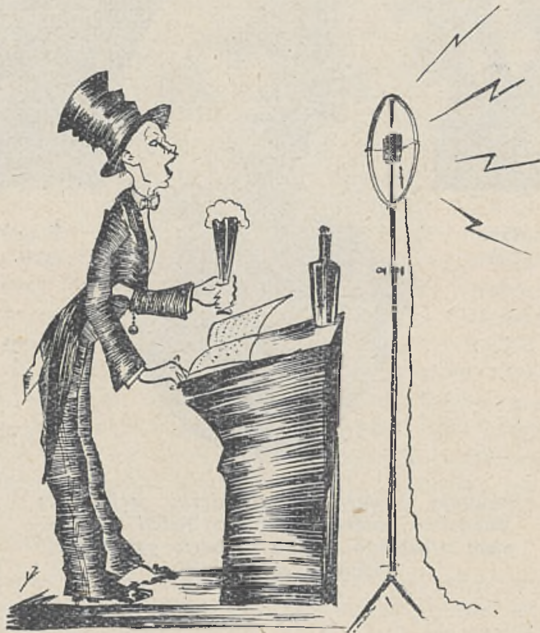
Szanowni Słuchacze — zawód mój nie jest przyjemny. Nie lubiłem go nigdy o jedenastej rano, nie lubiłem go nigdy wówczas, kiedy miałem być na rozkaz dowcipny, wesoły i pogodny, nie lubiłem go nigdy w pierwszy dzień nowego roku. Ale dziś, kiedy w pierwszy dzień nowego roku, o jedenastej rano, musiałem być dowcipny, wesoły i pogodny, znienawidziłem to, co popularnie nazywamy literaturą.

Z tym dowcipem, w związku z prelekcjami polskiego radja, także jest szczególny krzyż pański. Dyrekcja tej instytucji uprzedza mnie za każdym razem, ilekroć mam stanąć przed mikrofonem: Panie Hemar, niech pan pamięta — dowcip, humor, kawały — tylko dwóch rzeczy nie wolno tykać — erotyki i polityki. Polityki, bo radja słucha młodzież, a erotyki, bo słuchają dorośli.

Ostatecznie — nie chcę w tej chwili i na tem miejscu kopać dołków pod instytucją, której zawdzięczamy tak wiele transmisyj z Katowic — nie chcę tego czynić, albowiem jestem tu sam, otoczony aparatami o wysokiem, elektrycznem napięciu. Niech się cokolwiek z mojej przemowy nie spodoba ludziom, którzy w tej chwili mają mnie w ręku, a podejdzie do mnie uśmiechnięty speaker i powie: Panie Hemar kochany, niech no pan dotknie tego guziczka — dla hecy — zobaczy pan — wyskoczy ptaszek. Dotykam ci ja takiego guziczka. a tu — pstryk — miljon wolt i na drugi dzień piszą po gazetach: „Znowu jedna ofiara własnej nieostrożności z grona naszych znanych i cenionych literatów". Wolę tedy z elektryką nie szukać zaczepki. Nie mniej jednak ambicja humorysty bierze na kieł. Ilekroć w życiu robiłem jakie kawały, jakiekolwiek dowcipy, jakiekolwiek kalambury — zawsze robiłem je na dwa tematy. Jeden temat to była erotyka, a drugi polityka. Poza temi dwiema dziedzinami nie jestem dowcipny. Poza temi dwoma tematami nie umiem nic. O czem mam dziś układać przyjemne i wesołe dowcipy dla użytku radja? O hodowli buraków? O komunikatach czasowych i meteorologicznych? O automatycznem dojeniu krów? O koncercie z płyt gramofonowych?

Szanowni Słuchacze! Cóż to jest jednak prawdziwy dowcip? Jest to wrodzony talent do nierobienia kawałów wtedy, kiedy ich nie można robić. Bardzo proszę zapamiętać sobie to zdanie — jest ono mądre. I dlatego mój feljeton dzisiejszy jest sentymentalny i tematem jego jest raczej *„Pochwała domowego zacisza"*.

Tyle razy rozmyślałem o tem—a dziś myślę znowu — dlaczego jest tak, że ludzie wzruszające święto Sylwestra obchodzą w knajpie, w natłoczonym dancingu, opętani hałasem jazzbandów, brzękiem szkła, pstrokacizną krzyków, strugami kolorowego alkoholu i hebanowej kawy? Spytać kogo, to odpowie, że chce bawić się na umor — poto, aby mu przez cały rok było tak wesoło.



Bardzoby było smutno, gdyby cały nasz rok miał tak wyglądać. Jestem kawalerem i od wielu lat jadam codzień po restauracjach. Szanowni słuchacze — ja wiem, czem to pachnie. Wy, którzy dzień w dzień, o tych samych porach zbieracie się w swoich domach, w jednym pokoju, w którym stoi wasz stół, wy którzy w kręgu zacisznej lampy spożywacie skromne sznycle na maśle, rosołek domowy, albo jajecznicę z kapustą — wy, oczyma duszy swej widzicie w tej chwili mnie, jak wytwornie odziany, zatknąwszy niedbale wykałaczkę w zęby, wchodzę do modnej restauracji i rzuciwszy okiem na kartę, rzucam następnie zgiętemu w pas zaufanemu kelnerowi: dzisiaj zjem szatobrianda „Montmorency", do tego przysmażane „kramsztyczki" i „sałatkę z labradorów". Szanowni słuchacze, jakże się mylicie! Nie wiecie o tem, że karty restauracyjne nie znają niespodzianek. Wszyscy kelnerzy wyglądają jednako, wszystkie potrawy mają ten sam smak, ten sam kolor, są w tym samym sosie i różnią się tylko francuskiemi nazwami, których nikt nie rozumie. Miesiąc takiego wiktu—a człowiek tęskni do waszych zacisznych pokojów, do okrągłego stołu, nad którym wisi łagodna lampa, do kucharki, która przypala pieczeń. Nie poto spędzamy Sylwestra w knajpie, aby tak było przez cały rok.

I nie poto urzynamy się na Sylwestra strugami wódki czystej, zakrapianej, gorzkiej, słodkiej, lepkiej, zielonej, czerwonej i żółtej, nie poto rozlewamy na obrusach drogocenne alkohole, za które wybuliliśmy z kieszeni przedostatni grosz, nie poto przytykamy płonące papierosy do cudzych kolorowych baloników, które — ach! — pękają z trzaskiem, nie poto odpina nam się dziesięć razy w ciągu wieczora spinka u frakowego gorsu (a przepraszam, że wtrącam tę uwagę: tylko my mężczyźni wiemy, gdzie trzeba wtedy wyjść, aby spinkę zapiąć i którędy się taka spinka zapina!), nie poto robimy to wszystko we wzruszające święto Sylwestra, aby nam się tak miało dziać przez cały boży rok. Bo cóżby to było za życie!

Szanowni słuchacze! Z innego powodu robimy te wszystkie szaleństwa. Oto chcemy na jeden wieczór uciec z własnego domu najgruntowniej, chcemy się odurzyć i oszołomić obcym zgiełkiem, bo nie każdy z nas sprostałby w ten wieczór wzruszającej myśli, że w tej krótkiej chwili, kiedy bije godzina dwunasta, wśród naszych znajomych czterech ścian odwraca się jedna wielka ciężka karta z historji naszego życia. Że w tej krótkiej północnej chwili przechodzi przez mieszkanie powiew — przepraszam za słowo nazbyt poważne—powiew wieczności.

Czemże jest taka chwila krótka i zadyszana dźwiękiem dwunastu kroków zegara? Chwilą, jak każda inna. Dzień jest przed nią taki sam, jak każdy inny i jak każdy inny będzie po niej. Tak samo jest pełen nadziei zrana i tak samo zmęczony wieczorem. Dni takich jest wiele, jest mnóstwo, ale jest zawsze zamało na to, aby osaczyć niemi szczęście, którego szukamy, aby obstawić je tak szczelnie, żeby się nam wyślizgnąć nie mogło jaką szparą zmierzchu, jaką szczeliną nocy. Jak rok długi ten sam jest trud pracy, ta sama rozpacz rozczarowań i zaciekłość ambicji i radość drobnych powodzeń — aż nagle przywodzi nas droga przed zwyczajny kamień milowy z cyfrą. Jeszcze jeden krok — a z cyfry 1929 zrobił się napis 1930.

Kto z nas znalazłby dość siły, aby w tej chwili spojrzeć za siebie wstecz i zrozumieć nagle cały smutek, wszystką bezcelowość życia, które w jedną tylko okrutną drogę zmierza: w dal od młodości. Kto z nas zdołałby powstrzymać w takiej chwili łzy?

Szanowni Słuchacze — bądźmy przez chwilę szczerzy: Poto właśnie jest ta wszystka wypita i rozlana wódka, poto jest głośny śmiech i zgiełk, i światła w knajpie, i bruderszafty z nieznajomymi, aby o tej jednej chwili zapomnieć. Aby przemknąć obok szybko i bez zbytnich czułostkowości, aby potem szybko wrócić do domu na nowy rok i znowu z tą upartą, nieustępliwą wiarą, że wszystko może jeszcze być najlepiej: Albowiem zawsze w dwie strony prowadzi droga i zawsze i wszędzie właśnie tam, gdzie kończy się żałość za utraconą przeszłością, zaczyna się nowy rok tajemnicy i niespodzianki. Szanowni Słuchacze, ilekroć myślimy poważnie o naszem życiu, tylekroć jest właśnie Sylwester. I tylekroć życzę wam wszystkim z najgłębszego serca tego samego, czego dziś rano powinszował mi dozorca domu, przyniósłszy mi kartkę z następującym wierszykiem:

Niech Szan. Państwu szczęście służy
Zła dola omija,
I życie się dłuży
A humor wciąż sprzyja.
Proszę Najświętszego Boga serdecznie
Każdej godziny,
By zachował radość wiecznie
Dla dobra domu i rodziny.
Niechaj od dzisiaj płynie dostatek
Jak obfitości róg
Wiele pociechy od dziatek
By dał Wielki Bóg.
Chwal Boga duszo żywa,
Że z łaski Nieba na ziemi przebywa
Dla ludzi na świecie potrzebny
Dla dobra kraju służebny.
Niech łaskawy będzie Rok Nowy
Nie szczędzi radości nikomu
Serdecznie życzy

DOZORCA DOMU.

Kiedy przeczytałem te słowa, byłem wzruszony i dumny, że znowu przydała się na co ta rzecz, zazwyczaj tak bardzo dozorcom niepotrzebna: poezja.

I tymiż samymi słowami życzę tak samo wszystkim wam w imieniu literatury, w której wielkim i wspaniałym domu jestem skromnym strupłem.

Chociaż strupel—nie chwaląc się—swoich parę złotych odemnie dostał, a ja życzenia moje w nieruchomy spokój mikrofonu rzuciwszy, nie wiem nawet, czy je kto z was dość wyraźnie dosłyszał...

„B U R Z A"

Oto tytuł sensacyjnej powieści angielskiego autora Philipsa Oppenheima, której druk rozpoczniemy od przyszłego numeru.

„Burza" opisuje wypadki światowe, które się rozegrają za kilkadziesiąt lat. Będziemy znowu świadkami machinacyj politycznych niemieckich, przyjrzymy się wynikom separatystycznej polityki Stanów Zjednoczonych, zapoznamy się z tajnikami zbrojeń międzynarodowych, układów i usiłowań.

„Burza" jest dziełem, które z pewnością zainteresuje naszych Czytelników.

MĘŻCZYŹNI WOLĄ BLONDYNKI!

A więc:
Mężczyźni wolą blondynki.

Czy tak jest rzeczywiście, a jeżeli tak, to dlaczego?

Czy wolą?

— Ależ tak! — Oczywiście. Nie ulega wątpliwości w najmniejszym nawet stopniu!

Stosujemy metodę empiryczną

Statystyka wykazuje, że ilość blondynek — tych prawdziwych, płynących mlekiem i miodem, z krwi i kości, z włosów, oczu i cery, z temperamentu i umysłowości — zmniejsza się z katastrofalną konsekwencją.

A spójrzmy dokoła! Z pod kapelusików odsuniętych na tył głowy, z pod rondków i półrondków, wymykają się, wybiegają, robią oko, wabią nas i kuszą figlarne loki,



Karykatura Anity Loos.



Imogena Robertson (Metro).



Brygida Helm (Warsz. K. S. A.).



Anna Ondra (Petef).

Zaznaczam, że nie czytałem pomnikowego dzieła Anity Loos.

Wszystkie spostrzeżenia, jakiemi dzielę się poniżej z czytelnikami, są wyłącznie moje własne i uprzedzam, że są stricte copyright.

Jeżeli kiedy spotkam gentlemana, który, emablując jakąś uroczą blondynkę, będzie szeptał jej na uszko argumenty, zaczerpnięte z tego artykułu — to pociągnę go bez chwili wahania do odpowiedzialności przed sąd okręgowy.

Wiem, co mi odpowie: — Cel uświęca środki. Ale to nie pomoże. Choć cel jest blond, ale środki czarne, jak włosy Torquemady. Dysproporcja zbyt rażąca.

Trudno!

Będzie pokutował

kosmyki i grzywki — blond.

Wszystkich odcieni — ale blond.

Włosy jak mosiądz i włosy jak henna; włosy jak skóra tygrysia pręgowate, jednocześnie i popielate i słomiane; włosy pasiaste, łaciaste i w kropki, włosy w zygzaki i różnobarwne desenie. Włosy piękne i włosy okropne — ale wszystkie blond.

Czyżby statystyka miała się mylić?

Nie — cyfry nie kłamią, czego nie można powiedzieć o włosach.

Rozwiązanie zagadki potwierdzi naszą tytułową tezę.

Poprostu: Kobiety czują pismo noskiem i orjentują się z niezwykłą precyzją we wszystkiem, co jest rodzaju męskiego. Wiedzą one nieomylnie na kilka kilometrów i lat przedtem, co się nam, panom stworzenia podobać może, co my „wolimy".

I już. Tu rozwiązanie tajemnicy: Mężczyźni wolą blondynki!

Kwestja wyjaśniona.

A teraz: dlaczego wolą?

To kwestja bardziej skomplikowana.

Pójdziemy drogą analizy. Wyliczymy najpierw zewnętrzne cechy typu blondynki, potem wewnętrzne.

Więc mężczyźni wolą blondynki dlatego, że:

1. cechy zewnętrzne.

Blondynki są estetyczne. Niekoniecznie piękniejsze, czy nawet ładniejsze od brunetek — ale (przeciętnie) bardziej estetyczne.

Są jasne. Kolor niebieski koi i uspokaja — są niebieskookie. Są bardziej świeże.

Nie mają wąsów ani brody.

Nie starzeją się tak szybko, jak brunetki.

Ładniej wyglądają w życiu codziennem i przy pracy.

Ładniej wyglądają w kostjumie kąpielowym.

Lepszy jest week-end z blondynką, niż z brunetką.

Mają ładniejszą cerę.

Wyglądają zdrowiej, aniżeli brunetki. I wiele innych przewag typu zewnętrznego.

2. (cechy wewnętrzne). Są spokojne. Mają usposobienie równe i łagodne.

Rzadziej są histeryczkami

Są uśmiechnięte. Są wesołe. Ładniej się śmieją. Bardziej im do twarzy ze śmiechem, aniżeli brunetkom, co dowodzi, według Tołstoja, dobroci charakteru.

Świetne towarzyszki do pracy i do zabawy.

Są łatwe w spółżyciu. Jakoś lżejsze, aniżeli brunetki.

Są kobietami na codzień i week-end. Na powietrze, plażę, wodę. Do sportu. Sportsmenką — nie żonglerką jest Wills — nie Lenglen.

Nie filozofują, a są rozsądne.

Nie są hyperinteligentne.

Więcej się śmieją, aniżeli mówią, a kiedy chcemy zabrać głos, pozwalają i nam się wypowiedzieć.

Jeżeli im coś dokuczy — raczej się dąsają, aniżeli tragizują.

Są powojenne. Są związane z epoką tempa i krótkiej sukni, która mimo zakusów krawieckich ostatecznie się utrzyma.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje typ kobiety, stanowiącej połączenie cech zewnętrznych blondynki (z pewnemi drobnemi zmianami) z cechami wewnętrznemi, odpowiadającemi raczej brunetce. Rzadki to typ.

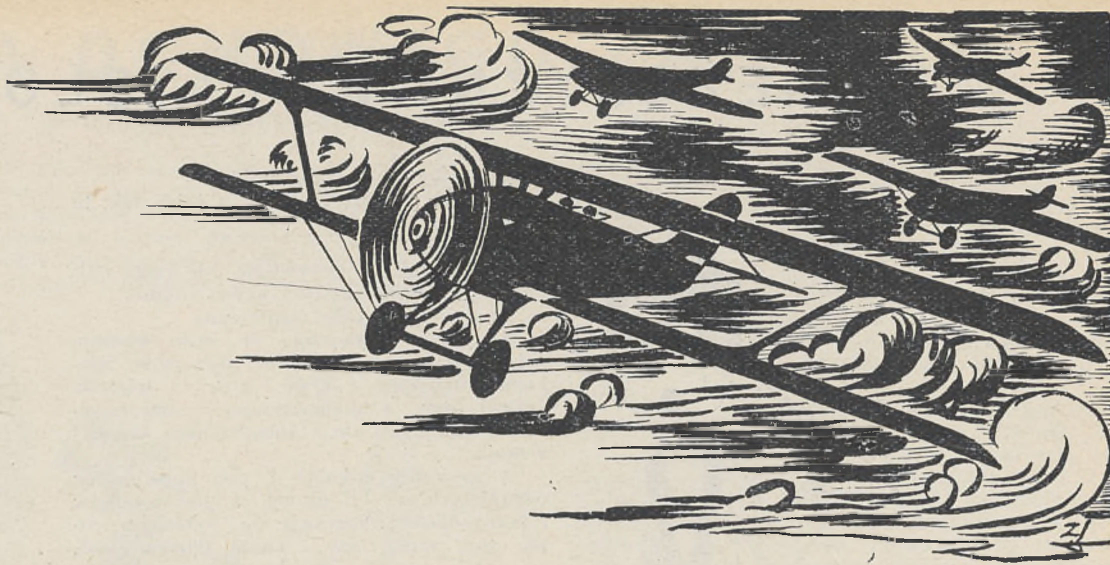
Mowa tu o kobiecie rudej.

Rudowłose są krańcowe. Nawet w urodzie. Są bądź brzydkie, bądź piękne.

Mówimy tu, oczywiście, o pięknej. Kolor ich włosów to cała gama. Od bladego złota do czer-

(dokończ. na str. 19)

10 LAT POKOJU



Pokój na ziemi, braterstwo ludów, współpraca społeczeństw, porozumienie międzynarodowe... nawet w ostatnich czasach wywieszony przez Brianda sztandar z napisem: „Zjednoczone stany Europy“ oto hasła, nad któremi głowią się najtęższe głowy dyplomatyczne całego świata. Od chwili zakończenia wojny światowej i podpisania traktatu w Wersalu mija dziesięć lat. Dziesięć lat pracy Ligi Narodów, dziesięć lat konferencyj na temat uregulowania stosunków pomiędzy doniedawna wrogiemi państwami oraz nad projektami rozbrojeń morskich i lądowych. Zdawałoby się z pozoru, że ludzie mają już dość przelewu krwi, że nareszcie krwawe widmo wojny zostanie bezpowrotnie zniszczone. Jest to jednak złudzenie fanatyków pacyfizmu, którzy nie słyszą w swych zacisznych gabinetach bezustannego szczęku oręża i okrzyków bojowych.

Jak w praktyce, wygląda teorja o trwałym pokoju na świecie, niech posłuży poniższy bilans, pierwszego dziesięciolecia po zakończeniu wojny światowej.

1919

WOJNA BIAŁYCH PRZECIWKO BOLSZEWIKOM.

Podpisanie traktatu wersalskiego odbyło się przy dźwięku krwawych walk, toczących się na wschodzie Europy. Pięć armij rozrzuconych na kilku olbrzymich frontach walczyło z bolszewikami. Armjami białemi dowodzili generałowie: Denikin, Wrangel, Judenicz, Awałow-Bermondt oraz Kołczak. Wszyscy zostali rozgromieni. Straty przez nich poniesione nie są do obliczenia.

WOJNA POLSKO-UKRAIŃSKA.

Zmartwychwstałe państwo polskie musiało zakreślać swe granice mieczem. Niepodległości niemożna zdobyć papierowymi traktatami. Wschodnia Galicja zamieszkała licznie przez rusinów, porwała się do walki, chcąc utworzyć niepodległą Ukrainę. Polska tłumi powstanie, przeciwstawiając nieliczne oddziały ochotnicze bandom czerni ruskiej. Wreszcie po najcięższych walkach w obronie Lwowa, w marcu 1919 r. rusini zostają złamani.

WOJNA AFGAŃSKO-ANGIELSKA.

W kwietniu 1919 r. wybucha krwawa wojna pomiędzy Afganistanem a Anglją. Na tronie afgańskim zasiada król Aman Ullah, po zamordowaniu swojego ojca. Ogłasza on niezależność Afganistanu od wpływu Anglików. W konsekwencji wynika wojna, tocząca się na dzikich stokach pogranicza. Wojna dla Anglji niepomyślna. Najkrwawsza bitwa pod Dakka przesądza o zwycięstwie Afganów. Sir Hamilton, przewodniczący angielskiej delegacji pokojowej podpisuje traktat o niepodległości Afganistanu.



PIERWSZA WOJNA GRECKO-TURECKA.

Inspirowana przez Anglję Grecja zajmuje przy pomocy swych wojsk Smyrnę. Na początku czerwca w krwawej bitwie pod Aidin, armja turecka zostaje rozbita.

1920

WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA.

Wojna polsko-bolszewicka, która rozpoczęła się na wiosnę 1919 roku, dochodzi obecnie do punktu kulminacyjnego. Ofenzywa polska, skierowana na Ukrainę rozwija się pomyślnie, w wyniku czego 8 maja zostaje zajęty Kijów. W tym samym czasie na północy wojska polskie stoją na linji Dźwiny. Armja polska licząca 500.000 ludzi jest rozrzucona na froncie 1200 kilometrów. Nic więc dziwnego, że bolszewicy, którzy uporali się w międzyczasie z armjami białych generałów, rzucają wielkie masy wojsk na tak zwany „trakt smoleński“ i po krótkiej ofenzywie przerywają się na północnym odcinku frontu. Polacy są zmuszeni do odwrotu. Bolszewicy osiągają linję Wisły. Wreszcie 14 sierpnia następuje kontrofenzywa Polaków. Bolszewicy zostają rozbici i uciekają w panicznym popłochu. Pokojem w Rydze zostaje wojna zakończona zwycięsko dla Polski.

DRUGA WOJNA GRECKO-TURECKA.

W Małej Azji niezłożono jeszcze oręża. Grecy podjudzani ciągle przez Anglję, rozpoczynają 22-go czerwca dalszą ofenzywę przeciwko Turcji, która rozbita wewnętrznie nie może stawiać skutecznego oporu.

WOJNA TURECKO-ORMIAŃSKA.

Szczęśliwiej powiodło się się Turcji na innym froncie, kiedy wypowiedziała we wrześniu wojnę Armenji. Zostają zdobyte miasta Karsk i Alexandropol. Główne miasto Erywań broniło się zaciekle. Wkońcu grudnia zostaje zawarty pokój, mocą którego większa część Armenji włączono do państwa tureckiego.

GABRIEL D'ANUNZIO ZDOBYWA FIUME.

Niewielka akcja bojowa, ale mająca duże polityczne znaczenie miała miejsce na półwyspie Istrja. Gabriel d'Anunzio zbiera legjony, przy pomocy których zajmuje 8 września miasto Fiume, należące do Jugosławji. Na mocy traktatu w Rapallo Fiume zostaje uznane jako wolne miasto, pod protektoratem Włoch. Wojska włoskie wkraczają do miasta. Jugosławja do dziś dnia nie może przeboleć straty swego najlepszego portu nad Adrjatykiem.

1921

WOJNA POLSKO-NIEMIECKA.

Tak można nazwać powstanie na Górnym Śląsku, gdzie powstańcy polscy w sile około 50.000 ludzi walczyli z regularną armją niemiecką.

Najkrwawsze walki toczyły się pod górą św. Anny, przyczem Niemcy stosowali tam wszystkie najnowsze systemy wojny, z gazami trującemi włącznie. Wskutek interwencji mocarstw walki ustają. Połowa Górnego Śląska zostaje przyznaną na podstawie plebiscytu Polsce.

TRZECIA WOJNA GRECKO-TURECKA.

W końcu marca 1921 Grecy rozpoczynają swoją trzecią ofenzywę. Tym razem jednak napotykają po raz pierwszy na zdecydowany opór armji tureckiej. Jest to dziełem Kemala Paszy, który zreorganizował całe państwo a także i armję. Walki toczą się ze zmiennem szczęściem przez cały 1921 rok.

1922

W tym roku zostaje zakończona długotrwała wojna grecko-turecka. W sierpniu i we wrześniu następuje szereg bitew, przeważnie dla Turków zwycięskich. W dzikich walkach armja grecka zostaje wyparta na brzeg morza. Turcy zajmują Smyrnę. W kilka dni później ostatni żołnierz grecki opuszcza ziemię Małej Azji. Pokojem w Lozannie zostaje wojna zakończona, przyczem Turcja wysuwa się coraz bardziej na czoło tych państw, z któremi należy się liczyć.

1923-24

Lata te upływają we względnym spokoju. Toczą się jedynie wewnętrzne walki w Chinach, które trwają prawie bez przerwy już od roku 1912.

1925

POWSTANIE ABD EL KRIMA.

W styczniu 1925 r., Abd el Krim, wódz Riffenów, w północnej części Marokka organizuje powstanie przeciwko Hiszpanji. Krwawe walki, jakie wybuchają w Afryce nie mają sobie równych od 1918 roku. Hiszpańskie wojska kolonjalne ponoszą straszliwe klęski. Zachęcone tem powodzeniem dotychczas spokojne szczepy arabskie, powstają również we francuskiej części Marokka.

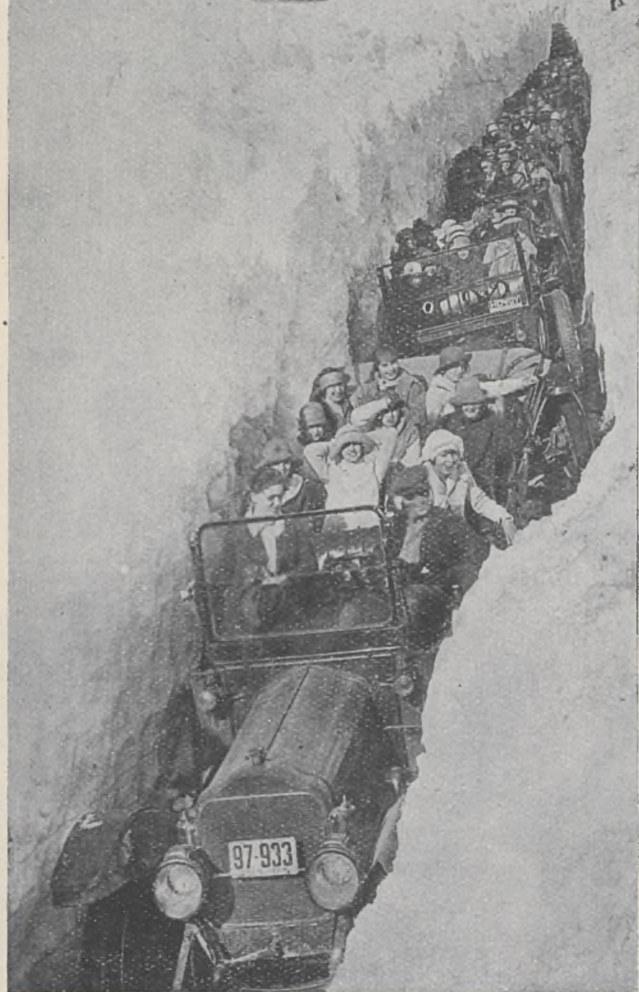
(Dokończenie na str. 23)




PHILIPS
RADIO







(fot. Atlantic, Wide World i Photoplat)

W GÓRACH

Ilekroć razy mowa o naszych górach — a najczęściej wspomina się o tej porze, zimowej — nie nęci mnie opowiadanie o jakichś wyczynach sportowych (wbrew ogólnym prądom), lub wycieczkach karkołomnych (najmniej zaś o wyczynach sławionych w feljetonach sezonowych, pisanych pod wrażeniem Karpowicza et consortes). Najchętniej bowiem wspominam o tych czasach, kiedy nikt ze „zbójników" wielkomiejskich nie bywał w tych stronach, a bacowie i juhasi panowali tu niepodzielnie, broniąc się „jeno od napadów prawdziwych z krwi i kości zbójników.

Ej zahucały góry, ej zahucały lasy —
Ej kieby się wróciły nase młode casy!...

Niemasz już dzisiaj zbójników, co to

...bywali na hraniu — pijali — pijali;
A wójci Biekańscy na nich špihowali — špihowali...

Niemasz Janosika, o którym pisał ongi Goszczyński, co bywał gościem zbójników i zostawił o nich piękne wspomnienia w swojej „Podróży do Tatrów". Ostatnie przygody romantyczne notowano na Podhalu w połowie XIX stulecia, a ostatni zbójnicy, o których warto wspomnieć — to Wojtek Mateja, rodem z Zakopanego i Wojtek Gal z Olczy, którzy bezkarnie, dzięki wypadkom rewolucji węgierskiej, grasowali na granicy, w Szmeksie.

A byłyż to czasy...

Bywało, że wejdą zbójnicy do karczmy — poczęstunek za wszystkich zapłacą i opowiadają przedziwne rzeczy, które nieraz domorosłym poetom przysparzały tematów — pieśni swojskich, pełnych zachwytu dla dzielnych chłopaków.

Nie masz, nie masz jako zbój
Spadnie listek, to się bój,
Spadnie listek bukowy
Już to Janko gotowy...

Minęły te czasy — minęły bezpowrotnie. Rytmem Cherlestona upajają się w dolinie — u Karpowicza, a nawet i wyżej, w schroniskach, przy gramofonie.

Romantyzm się skończył...

U propagatora Sztuki Polskiej w Bułgarji.

(wywiad z art. malarzem K. Strzemińskim).

Po stromych schodkach docieramy „aż do samego końca“ (jak poucza dozorca kamienicy przy ul. Mokotowskiej). Tam króluje już niepodzielnie znany nasz pejzażysta i prezes Związku Zawodowego Artystów Plastyków, p. Kazimierz Strzemiński.

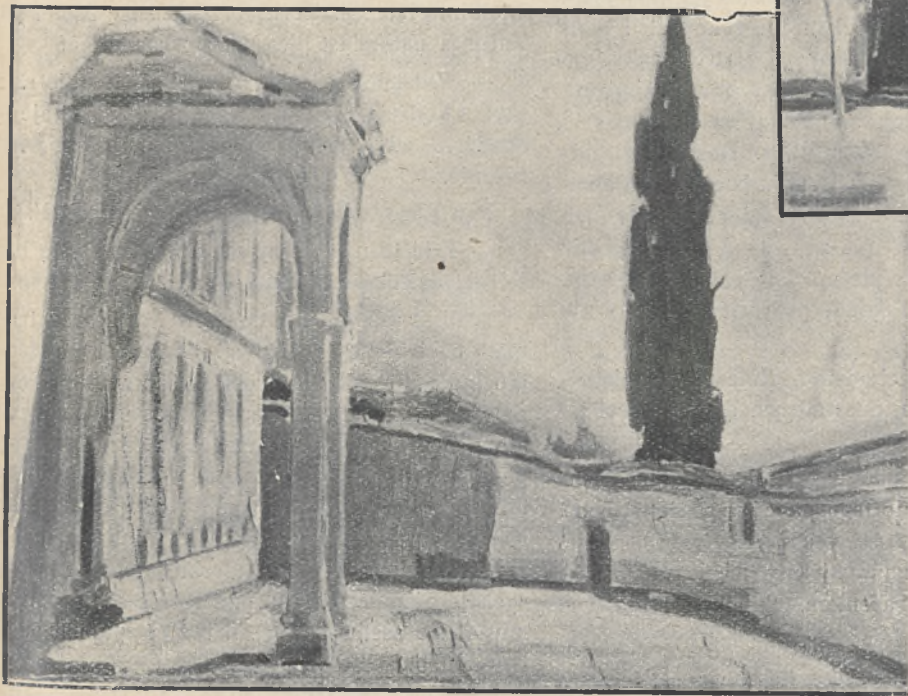
Wielka pracownia, oświetlona jaskrawo, śmieje się fragmentami winnic, gór, jakichś nie naszych egzotycznych zakątków, minaretów, a przedewszystkiem kawałami cudownego błękitu południowego nieba.

— To moja bułgarska zdobycz — mówi młody artysta, chodząc ze mną od ściany do ściany. — Zrobiłem około 40-tu płócien, które wkrótce wystawię... Wróciłem, jak panu wiadomo z Bułgarji. Uroczy kraj! Coza słońce... Do połowy listopada chodziłem bez palta. Kiedy po raz pierwszy ustawiłem w Karlovej stalugi, odniosłem wrażenie, że robię pierwszy mój pejzaż w życiu. Grzebałem w farbach, szukając nowych jakichś, nie znanych mi jeszcze barw, aby to wszystko wyrazić.

— Jak długo bawił pan w Bułgarji i jak to się stało, że wybrał się pan do tego stosunkowo niedalekiego, a jednak tak mało nam znanego kraju?

— Spędziłem tam cztery miesiące, a sprawa wyjazdu ułożyła się bardzo prosto. Swego czasu urządziłem wystawę znanemu malarzowi bułgarskiemu, p. Tanewowi w salach naszego związku w Warszawie. Zostałem zaproszony przez niego do Bułgarji. Była to więc rewizyta, którą, jak pan sam widzi, wykorzystałem bardzo intensywnie. Zwiedzałem Bułgarję inaczej, oczywiście, niż to czynią zwykle turyści. Obejrzałem przedewszystkiem stare, malownicze miasteczka u stóp gór: Karlova, Kopryszczyca (centrum starej kultury bułgarskiej), Missora Plodiv, Peruszczyca, Klisurax i Kalofer. Są to miejsca historyczne, zwiedzane przez Bułgarów z wielkim pietyzmem, gdyż z nich to wyszli ludzie tak zasłużeni dla kraju, jak Wasilewski (organizator powstania przeciwko Turkom) i Christo Botew, wielki poeta narodowy. Główną mą kwaterą był jednak dom kolegi Tanewa w Karlovej.

W tejże chwili zostaliśmy zaproszeni przez gościnną małżonkę artysty na kawę. Ale co za kawa! Najprawdziwsza turecka z pianką w ślicznych tureckich filiżankach bez uszek.



Studjum. *K. Strzemiński.*

— Innej tam nie pijałam — oświadcza urocza pani domu, która jest również oczarowana Bułgarją. Rozmowa nasza zatraca już obecnie zupełnie cechy wywiadu, a jednak z niej dopiero staje mi się wiadomem, że Bułgarzy urządzili p. Strzemińskiemu cały szereg wystaw po różnych miastach, przyczem podejmowano go jaknajgościnniej, zaznaczając zawsze ogromną sympatję dla narodu polskiego.

— A czy miał pan jakie prace z Polski?

— Oczywiście... Zabrałem ze sobą 28 płócien i wszystkie tam zostały. Prócz tego sprzedałem jeszcze parę płócien, wykonanych już w samej Bułgarji. Brzmi to dziwnie, a jednak jestem pierwszym malarzem Polakiem, u którego, od czasu naszej niepodległości, Muzeum Narodowe w Sofji zakupiło obraz. Jest to fragment historycznego klasztoru w Sopot (ale tych w Bułgarji), gdzie ukrywał się bohater narodowy, Wasilewski. Muzeum sofijskie ma tylko jeden obraz polski z przed wojny, mianowicie A. Piotrowskiego, który wiele lat spędził przy dworze bułgarskim. Galerje miejskie, zarówno w Sofji, jak i Filipopolu (Plovdiv) kupiły moje obrazy. Bardzo im bowiem przypadła do gustu architektura starej kapliczki w Limanowej. Reszta rozeszła się wśród instytucyj i osób prywatnych. Wszędzie podczas wszystkich wystaw i związanych z niemi bankietów, musiałem zaznajamiać słuchaczy z naszym krajem, a zwłaszcza z jego sztuką. Interesowano się ogromnie Polską i dowiadywano się nieraz o takie szczegóły, że często bywałem zakłopotany...



Studjum. *K. Strzemiński.*

— ?... No tak, bo skądże ja, naprzykład, mogę pamiętać, jaki jest budżet „kochanego“ magistratu st. m. Warszawy!...

Najwięcej stykałem się, oczywiście, z plastykami, których większość grupuje się w „Rodnoje Iskustwo“ (sztuka narodowa), do którego należą znani już dobrze w Europie Tanew, Denew i Sztekełew oraz rzeźbiarze Łazarow i Nikołow. Modernistów reprezentuje grupa „Sowremienne Iskustwo“ (sztuka współczesna) ze Skitnikiem na czele. Rząd pomaga swym plastykom bardzo wydatnie. Na same tylko zakupy przeznaczył 500.000 lewów rocznie. Jak na budżet bułgarski jest to ogromna wprost suma. Aż zazdrość bierze... Związku zawodowego plastyków nie mają jeszcze, ale wkrótce zostanie zorganizowany. Otrzymali odemnie w tym celu nasz warszawski statut.

— Jakie zasadnicze wnioski wysnuł pan ze swojej podróży do Bułgarji?

— Wysyłać koniecznie naszą młódź malarską, całemi grupami, na studja pejzażowe i rodzajowe. Ileż tam można skorzystać! Panie, co za słońce, co za barwy, co za typy! Życie jest bardzo tanie. A jaka gościnność i jaka serdeczna życzliwość dla nas. Dobrze byłoby, gdyby się warszawscy i krakowscy profesorowie chcieli tem zainteresować. Mówiłem na ten temat dużo z posłem naszym w Sofji, p. Baranowskim. Sprawa ta leży mu bardzo na sercu...

Raz jeszcze przeglądam prześliczne, soczyste, z wielkim malowane rozmachem pejzaże utalentowanego artysty. Tyle w nich słońca!

Wychodząc z gościnnej pracowni, musiałem przyrzec solennie (to nie frazes, ani komplement dziennikarski), że dostarczę kilkanaście egzemplarzy „7 Dni“. P. Strzemiński chce je koniecznie przesłać swym bułgarskim przyjaciołom, których nauczył już trochę po polsku. Tam interesują się naprawdę wszystkiem tem, co w Polsce, którą poważają, jako państwo o wielkiej kulturze, pisze się o nich.

Dr. E. Strążyski.



STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ

DZIECIOBÓJCA

Sprawa rozpoczęła się zupełnie niewinnie. Służąca weszła do pokoju pani Karolowej punktualnie o godzinie ósmej rano — jak zwykle. Pani ziewnęła kilka razy. Z sąsiedniego pokoju odezwał się pan Karol.

— Daj gazetę.

Służąca przyniosła gazetę. Pan zaczął czytać. Pani udawała że śpi. Służąca stała w progu wyczekująco.

— Proszę państwa — bo ja miałam dzisiaj — straszny sen.

Pani obudziła się odrazu.

— Co ty mówisz?! a co takiego, Marysiu?

— Mnie się śniło, proszę pani, że pani miała dziecko.

— Aj źle! — powiedziała z przestrachem pani.

— I proszę pani — dziecko bardzo małe — ale nie mogę powiedzieć — tłuste i zdrowe. I pani niosła to — niby dziecko — ulicą — zupełnie jakby koło kupca — i przyszedł pan — tak proszę pani.

— Który pan?

— No, nasz pan — proszę pani. I zaczął to dziecko, co je pani na ręku niosła — mocno bić. I tak — bił proszę pani — tak mocno bił!

— No, no — powiedziała pani w zamyśleniu.

Pan czytał gazetę w dalszym ciągu. Pani Karolowa rozstrzygnęła wreszcie zagadnienie.

— No to, Marysiu, pilnuj się! to niedobrze jak się śni dziecko — żeby ci się co nie przytrafiło.

— To proszę — niech pani lepiej uważa — bo mnie się śniło, że to p a n i niosła dziecko na ręku — a nie ja.

— To nic, ale to t o b i e Marysiu śniło się, a nie mnie.

—Ale śniło się, proszę pani, że to pani...

Jednak pani Karolowa bezapelacyjnie orzekła, że przestroga, utajona w tym strasznym śnie, tyczy się tylko Marysi. Pan Karol czytał gazetę, coś niecoś słyszał — i uśmiechał się.

Jednakże ten pogodny uśmiech znikł już wkrótce.

— Słyszałeś? — zapytała z lekkim wyrzutem pani Karolowa golącego się męża.

— O tym śnie? pyszny kawał! słyszałem — jedna na drugą zwaliła skutki...

Pani Karolowa oburzyła się.

— Jakto — pyszny kawał? I ty się jeszcze śmiejesz? Tak bić dziecko i jeszcze później nazywać to pysznym kawałem!

Pan Karol osłupiał i przestał mydlić twarz.

— No przecież ja nie biłem — to tylko tej głupiej przyśniło się.

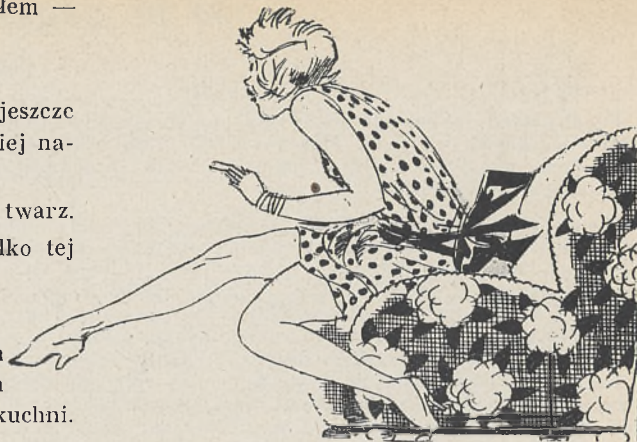
— No — niby tak — przyznała pani.

Możnaby już było zapomnieć o całym incydencie, ale, konsumując śniadanie, pan Karol usłyszał rozmowę, prowadzoną w kuchni.

— Więc, proszę pani, kilo i ćwierć jednego i pół drugiego i jeszcze włoszczyzny za piętnaście i jajek i masła. Ale proszę pani — mówię pani — jak nasz pan bił to dziecko — jak bił — jakby chciał zabić! Ja aż serce straciłam do pana, chociaż proszę pani nasz pan wcale niczego. Mówię pani, przyniosłam panu gazetę, ale sama się bałam.

— No, bo rzeczywiście, to nieładnie — tak bić — i to takie małe dziecko — przyznawała rację pani.

Pan Karol wyszedł tego dnia z domu — pożegnany niedość serdecznie. Atmosfera wyrzutu panowała również przy obiedzie. Dopiero wieczorem dom jakby przebaczył panu Karolowi jego niepopełnioną winę. Ale zato już nazajutrz zaobserwował, że spotykane na schodach i plotkujące przy bramie służące patrzą na niego z przestrachem. Młoda mężatka, mieszkająca na parterze, na widok pana Karola — poprostu przeszła na drugą stronę ulicy. Dozorczyni, odbierając datek przy otwieraniu bramy — nie raczyła powiedzieć zwykłego „dziękuję". Wkońcu pan Karol nie mógł nie zauważyć, że jest jakby bojkotowany przez płeć piękną całej kamienicy. Rozwiązanie tej zagadki przyszło samo — nie szukane.



Pan Karol przechodził właśnie przez dziedziniec, kiedy niańka, prowadząca dwoje dzieci na spacer, powiedziała:

— Jurku i Halinko — bądźcie grzeczne — bo zaprowadzę was do tego pana, co idzie — a on bardzo bije dzieci.

Jurek i Halinka spojrzały na pana Karola z wyraźnem przerażeniem. Pan Karol nie wytrzymał tym razem, zawrócił i podszedł do niańki.



— Moja dobra kobieto — rzekł — cóżto wam przyszło do głowy, żeby robić ze mnie dzieciobójcę i straszyć mną dzieci? To bardzo nieładnie.

— Ja tam nie wiem — różnie ludzie gadają — odparła niańka.

— Cóż mnie obchodzi, że gadają jakieś głupstwa! kto gadał? — podniósł głos zirytowany pan Karol.

W tej chwili Halinka i Jurek ryknęły zgodnie wielkim płaczem. Teraz przeraził się zkolei pan Karol, a natomiast głos podniosła niańka.

— Widzicie takiego pana! Dzieci moje straszy! Chodźcie maleńkie, biedne dzieci moje — chodźcie od tego pana — bo naprawdę bić zacznie.

Pan Karol odwrócił się z pasją i poszedł.

— Taki to na twarzy ma napisane — że litości dla dziecków niema — usłyszał jeszcze.

Napisał później list do państwa, którzy trzymali u siebie tę swarliwą niańkę. Odpowiedzi nie było. Pan Karol zrobił w domu kilka wymówek. Pani Karolowa popłakała się. Wzruszona tem Marysia oświadczyła, że u takiego pana, co śni się — jako bijący dzieci — służyć nie chce. Sprawa zaczynała być głośna. Pani Karolowa uważała, że straciła dobrą służącą z winy pana Karola. W dyskusjach, poruszających te niemiłe tematy, pan Karol coraz ostrzej musiał się zastrzegać, że ma dość głupich snów i pretensji.

— Sen nie był taki głupi — jeżeli potrafisz być zły dla mnie — wypaliła pani Karolowa. — Jestem przekonana, że zdolny jesteś do... do...

Pan Karol trzasnął drzwiami i wyszedł.

Po powrocie zastał w domu pustki. Marysia już wyprowadziła się. Żona jakoś zbyt długo nie wracała. Pan Karol, zaniepokojony tem, chciał już zatelefonować do znajomych, gdy nagle spostrzegł na stole kartkę. Nie wierząc własnym oczom — czytał:

„Od tygodnia straciłam dla ciebie serce. G d y b y ś m y m i e l i dzieci, to byś je napewno bił i ja nie miałabym ani jednej chwili spokojnej. Wszyscy mężczyźni to potwory. Wyjeżdżam do matki, niech ona zadecyduje, czy mogę żyć z człowiekiem o tak nielitościwem sercu..."

Pan Karol przesunął rękę po czole i zemdlał.



BRUNO WINAWER

Życzenia noworoczne czyli witamina U.

Mieliśmy od niepamiętnych czasów dwa takie pogańskie gaiki święte, dwa miejsca, ogrodzone niewidzialnym drutem kolczastym i strzeżone dniem i nocą przez również niewidzialnego rycerza z płomiennym mieczem w dłoniach. (Ów symboliczny stróż albo dozorca miał rozkaz wyraźny: „Nie wpuszczać mi tu żadnych techników, magików, naukowców, laborantów — ludziom w kitlu wstęp surowo wzbroniony!“

Mówię naturalnie — przedewszystkiem — o dziedzinie Sztuki (przez *S* duże). Czy kto jeszcze pamięta, jak wytworne wujenki i eleganccy stryjowie mówili o „oleodrukach“? Jak się wyrażali o „arystonach“ i „katarynkach“? Jak spluwali (nieomal) na samo wspomnienie słowa „fotografja“?

Reprodukcja malarska, światłodruk, utrwalanie dźwięków — to były jakieś wstrętne, obrzydliwe praktyki, uprawiane przez typy z pod ciemnej gwiazdy celem wyłudzenia pieniędzy od pospolitaków, parjasów i plebsu. *Sztuka* (przez S duże) nie może mieć nic wspólnego z mechaniką i maszyną.

Zdaje się, że pierwszy wyłom w starem, zardzewiałem ogrodzeniu zawdzięczamy twórcom kina. Dowiedli, że z ruchomych fotografij, kręconych zapomocą maszynki elektrycznej, można stworzyć *coś* — nie wiadomo, jak to określić... Sztuka szy nie Sztuka, w każdym razie bawi ludzi i zachwyca w 40000 kinoteatrów ‚rozrzuconych po całym globie — od Kalifornji do Syjamu i od Leningradu do Sydneju.

Przez wyłom przedarły się hurmem inne „mechanizmy“. Dziś Igor Strawiński czy inny Prokofiew komponują specjalne utwory na pianole i instrumenty muzyczne, — w czcigodnem konserwatorjum paryskiem umieszczono fortepian elektryczny...

Właściwie — dlaczego mamy w strunę uderzać koniecznie pałką albo młotkiem? Dlaczegóżby jej nie można było wprawić w ruch elektromagnetycznie? I któż to powiedział, że w trąbę trzeba dmuchać dziś i po wieczne czasy — jedynie i wyłącznie — przez otwór gębowy? W okresie, kiedy mamy na zawołanie bomby z powietrzem ścieśnionem, wentyle precyzyjne?

W czasach, kiedy możemy tanim kosztem przepuścić komprymowany tlen przez rury mosiężne i piszczałki drewniane, kiedy — nie wysilając się zbytnio — możemy za jednym zamachem grać na organach i odświeżać atmosferę w dusznej sali koncertowej?!

Stare przesądy są — poprostu — naiwne i głupkowate. Nasze instrumenty powstały w epokach odległych, które znały tylko „motor żywy“ albo prymitywne dźwignie, lewarki, przekładnie. Dlatego mamy dziś mechaniczne — w pierwotnym sensie tego wyrazu — fortepiany, mamy waltornie, trąby, flety, okaryny, oparte na pneumatyce średniowiecznej.

Technik nowoczesny powinien poddać te przyrządy muzealne pewnej rewizji. Już się zabrał do pracy, robi to i nawet z powodzeniem.

Zobaczycie, jak się sprawa rozwinie wspaniale dzięki filmom dźwiękowym, które już dziś są — chwilami — czarujące.

A teraz — punkt drugi! Nawet Muzykę, Plastykę, Sztukę (przez *S* duże) zawojowaliśmy tak jakoś bez wystrzału i bez krwi rozlewu.

Jest jedno sanctissimum, które się tak łatwo nie podda. Jest taki tum, taki meczet, którego ludzie bronić będą do ostatniego tchu: Kuchnia (przez K duże).

Tu niema żartów! Wara! Nieuznajemy „chemicznych“ win, sacharyny, nie chcemy znać namiastek, fabrykatów, zżymamy się na wspomnienie retorty. Tam, gdzie o żołądek chodzi, wołamy Liebigowi i Berthelotowi gromkim głosem: precz! i krzyczymy z głębi piersi: niech żyje kuchta Wikcia! Nie ruszać pieca, skąd nasz klops!

Niestety! Muszę smakoszom i wyjadaczom — i to teraz właśnie, w okresie noworocznym, w sezonie bankietów, bibek, obiadków i kolacyjek — zakomunikować smutną wiadomość.

Banda tajemniczych ludzi w białych kitlach porwała się i na to ostatnie „tabu“ — naukowcy szykują atak na Kuchnię.

Nic to, że już od lat fabrykujemy syntetyczne alkohole i cukry. Drobiazg, że genjalny profesor Bergius „wodoryzuje“ celulozę czyli poprostu z niestrawnego drewna robi preparat jadalny (tymczasem jeszcze — paszę dla bydła, chociaż lada dzień z owej paszy może powstać w retorcie nawet „kulebiak“ syntetyczny).

Chodzi o inne, poważniejsze kwestje.

Biochemja odkryła wreszcie owe niewyczuwalne, znikomo drobne przymieszki, które sprawiają, że jeden gatunek pożywienia „wychodzi nam na zdrowie“, a inny nie. Trafiliśmy na *witaminy*, wiemy, co trzeba dodać do potraw, żeby bicepsy rosły, kości w szkielecie tężały, zaczynamy naświetlać mleko dla niemowląt, produkować w laboratorjach fenomenalne substancje odżywcze. Grubasom odbieramy tłuszcz, chudzielcom zalewamy sadła za skórę.

Już dziś laboranci, fizycy, ludzie w kitlach zapędzili w kąt kocmolucha — Wikcię, układają jadłospis naukowy, zamieniają garnek na retortę, kalarepkę i marchewkę poddają działaniu światła ultrafioletowego.

Co będzie dalej, panowie?!

Powstaną zakłady specjalne, w których człowieka będą „karmili na poetę“ albo na szofera! Będą go tuczyli „na dyrektora teatru“ albo specjalną mączką podniecali w autorze zdolności twórcze.

Uczeni odnajdą *cholesterynę U* (witamina uprzejmości) domieszają kilka łyżek tego preparatu do zupy urzędnika w biurze paszportowem albo do kapuśniaku konduktora tramwajowego, poczem nawet możnowładca i dygnitarz miejski będzie się uśmiechał od ucha do ucha!

Wpuścimy — nic nikomu nie mówiąc — pastylkę takiego *U* do szklanki naszego wydawcy na przyjęciu noworocznem i...

Człowiek ten z własnej inicjatywy podwyższy honorarjum i da zaliczkę!

Wierzę, że nauka jest wszechmocna i wznoszę ten kielich, panowie...

W okresie powinszowań noworocznych — życzę sobie i wam najlepiej:

Oby już w tym roku, panowie, *witamina U* dzięki pracy świetnych biochemików współczesnych osłodziła żywot znękanej ludzkości.

Uśmiechnijmy się nareszcie.

Z teki Jotesa

(Na marginesie 10-olecia Turystyki w Polsce)



b. w. marszałek Sejmu Osiecki.



Dr. Orłowicz
Kierownik referatu Turystyki Min. Robót Publ.



Gen. Marjusz Zaruski.



Dyr. Dep. Moskwa.



Typ mieszańca, metyso-mulata.

STEFAN ŁOŚ

BIAŁY KACYK BOTOKUDÓW

W jaki sposób Eduardo Lima z Silva de Hoerhann został kacykiem botokudów — ich panem, władcą i dyktatorem absolutnym — o tem różne najdziwniejsze krążą legendy.

Dziwnie ciekawa to postać i tajemniczym nimbem owiana, a imię jego każdy botokud powtarza dziś z zabobonnym lękiem, biały zaś z ciekawością i uczuciem... bardzo zbliżonem do botokudzkiego.

Trzeba wiedzieć, że 3/4 powierzchni Brazylji zajmuje puszcza.

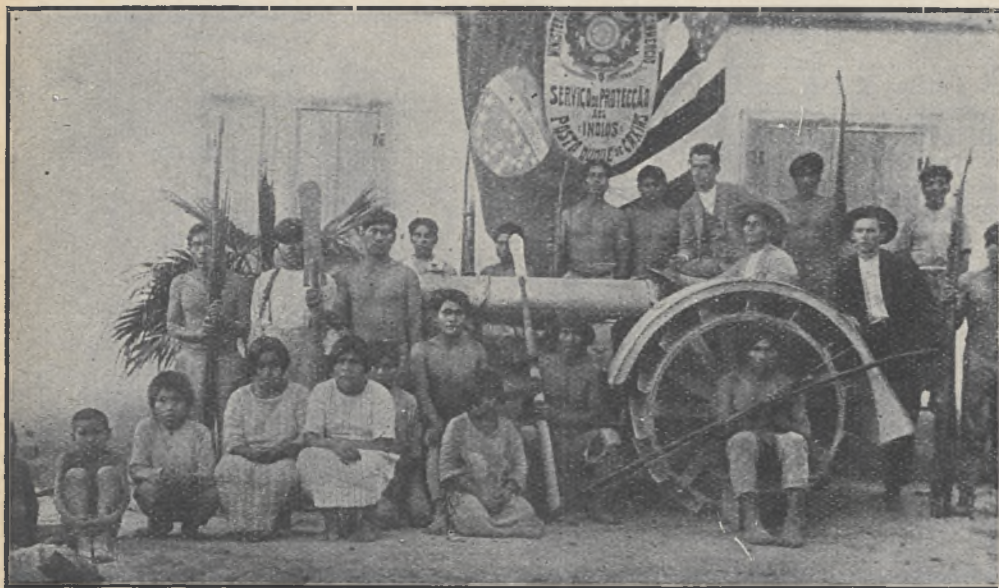
A puszcza — las dziewiczy — jest taką czeluścią, że ktokolwiek tam wpadnie — ten łacno przepadnie, tembardziej jeśli przepaść się stara.

Zdarza się skądinąd, i to nawet dość często, że ktoś czuje gwałtowną chęć zerwania nagle z cywilizowanym światem, nie dlatego, żeby go przyroda tak specjalnie nęciła, ale tylko... że tak się nieraz w życiu układa.

Pewnego dnia, któregoś tam roku, przepadł nagle wyżej wspomniany Eduardo.

Nikt się tem, oczywiście, nie przejmował, mało kogo interesowała osoba młodego awanturnika, który udał się w *interior*, jak tylu innych.

A Eduardo tymczasem, nie wiedzieć jakim sposobem, dostał się do niewoli botokudzkiej.



Placówka cywilizacji w dzikiej krainie Botokudów.

Wśród licznych szczepów indjan, grasujących w lasach południowo-amerykańskich, botokudzi od wieków odznaczali się największą bodaj dzikością i wojowniczem usposobieniem.

Eduardo potulnie znosił najcięższe prześladowania. Rad, że go wogóle odrazu nie uśmiercili, robił co mu kazano, ale przytem podpatrywał zwyczaje swych ciemiężców oraz ich słabe strony.

Uległością, dobrą wolą i przychylnością zyskiwał sobie coraz większe zaufanie dzikusów, którzy go przedtem maltretowali w straszny sposób i wprost niewiadomo dlaczego utrzymali, wbrew zwyczajom, przy życiu.

Aż wreszcie przyszedł dzień przełomowy. Botokudzi wszczęli walkę z jakiemś plemieniem i byliby przegrali bitwę, lecz Eduardo w decydującym momencie przechylił szalę zwycięstwa na stronę swych panów, używając broni, uprzednio mu odebranej. Wrogów bohatersko odparł, poczem, bez wezwania, broń swoją znowu oddał.

Tem sobie pozyskał ostatecznie dzikusów i odtąd stale, acz powoli opanowywał ich, no i wreszcie zaczął nimi na dobre rządzić.

Kiedy kolonizacja Brazylji poczyniła takie postępy, że niektóre plemiona indjańskie zostały zewsząd otoczone pierścieniem powstających kolonij, rząd federalny wyznaczył t. zw. rezerwaty i starał się cywilizować tubylców, osiedlać, a zmuszać poniekąd do porzucenia dotychczasowego koczowniczego trybu życia, który dotąd wiedli.

Brano się do tego nieraz... oryginalnie.

Oto naprzykład na odległą, o wiele, wiele kilometrów od jakiej takiej drogi siedzibę indjańską zawieziono widomy znak cywilizacji — traktor benzynowy. Już sama podróż biednego Fordsona, pełna niesamowitych przeszkód i przygód — godna jest osobnego tomu.

Traktor uroczyście postawiono przed specjalnie wybudowanym domem, gdzie... stoi pewnie do dziś dnia.



Charakterczny krajobraz braki z wysokopiennemirami (u dołu). Typbiet z plemienia kudów (na pralewo).





A mieszkańcy puszczy, którzy, nawiasem mówiąc, nie mają siekier ni motyk do najprymitywniejszej uprawy — obchodzą Fordsona zdaleka, zabobonnie sądząc, że to jakieś tajemnicze bóstwo białych, przysłane na to, aby indjan trzymać w posłuszeństwie. Pamiętają, że po przybyciu, bóstwo, nakręcone przez bladą twarz, zaczęło groźnie trzeszczeć, hałasować i buchać dymem.

Dzikusy padły na twarz i czują stały lęk przed gniewem bóstwa.

Ale „bóstwo" doszczętnie zardzewiało i choćby go nie wiem jak poić.. benzyną, nie zdołałoby już chyba nawet warknąć.

*
* *

Eduardo, poczuwszy się silnym na terenie botokudzkim i posłyszawszy, że rząd daje sporo pieniędzy na „mansowanie", czyli oswajanie indjan, nawiązał kontakt z władzami, opowiedział im swe przejścia i, przekonawszy, że nikt lepiej od niego nie spełniłby zadania, otrzymał stałą pensję, jako urzędowy „obłaskawiacz", czyli „mansador". Poczuł się jeszcze pewniejszym i wkrótce stał się kacykiem samowładnym.

Byłego niewolnika bano się teraz jak ognia. Rządził — jak chciał — robili — co chciał.

*
* *

W tym czasie polak, ks. Kominek, rozwijał bardzo ożywioną działalność kolonizacyjno-misjonarską.

Eduardo o tem posłyszał, wybrał się do Stayopolis do księdza rezydującego za górą Tayo i namówił go do odwiedzenia *toldo* botokudzkiego.

Misjonarza nie trzeba było długo namawiać. Pojechał odrazu, oczywiście, i odtąd stale już utrzymywał kontakt z kacykiem i jego ludkiem, a niewiele stosunkowo czasu minęło, kiedy sporo ich nawrócił i ochrzcił.

Ale dostać się do *toldo* niełatwo, nawet za protekcją Eduarda! Przedewszystkiem panowie brodaci i wąsaci nie byliby wpuszczeni przez botokudów, mających awersję do ludzi z zarostem.

Każdy obrośnięty — to wróg *(kokolé)*, w przeciwnym razie jest uważany za bezpiecznego, a może zostać nawet *kakéń* — to jest przyjacielem.

Pozostałość to z czasów walk między plemionami, botokudzi bowiem nie noszą zarostu.

W ciągu niedługiego czasu indjanie oswoili się z widokiem bladych twarzy i odwiedzali nawet bliżej leżące kolonje, z któremi nawiązali stosunki handlowe. Ale Eduardowi chodziło o to, żeby jego ludek uchodził za cywilizowany, iżby wieść o jego pracy i wynikach doszła do sfer rządowych, które na ową cywilizację dawały pieniądze.

A ludek, składając bladym twarzom coraz częstsze wizyty, zjawiał się stale w toaletach, które przy najlepszej nawet chęci trudno było nazwać ubraniem, to też przy pierwszej sposobności Eduardo, — król indjański — zakupił pewną ilość... inekspryrnabli i rozdał swym poddanym z surowym nakazem, iżby bez nich nie pokazywano się na kolonji.

Ludek, przywykły do posłuszeństwa, rozkazy wykonał ściśle, jeno pojął nieco oryginalnie, a trzeba przyznać z niemałą fantazją i wdziękiem.

W najbliższą bowiem niedzielę pojawiła się w Lucenie przed polskim kościołkiem grupa przyjaźnie uśmiechniętych indjan w inekspryrnablach... na szyi!

*
* *

W całe te dzieje Eduardo-botokudzkie, zresztą ciekawe i charakterystyczne, wplątała się historja niezmiernie romantyczna.

Kiedyś — w czasie walk jeszcze — botokudom zginęła mała dziewczynka — Caricza,



Typ mieszańca, metyso-malata.



Wśród wojowników — Botokudów.

jak wieść niesie córa wodza o pięknie brzmiącem nazwisku: *Kusogmá - Kanjaháma - Gaklang - Sambetsuje.*

Małą indjankę przygarnął niemiec dr. Gensch z Blumenau, miasteczka leżącego w stanie S-ta Catharina.

Doktór ją obłaskawił, wychowywał na równi ze swemi dziećmi i kształcił starannie w miejscowej szkole.

Caricza zapomniała zupełnie, że była botokudką. W wierze nowego życia rozpłynęły się mgliste wspomnienia rodzinnego *tolda*... ogniska... groźnych wojowników...

Była już tylko uczennicą szkoły w Blumenau i to uczennicą dobrą, pilną i bardzo uzdolnioną.

I byłoby wszystko dobrze, gdyby Eduardo nie wybrał się z 60 wojownikami do Blumenau w odwiedziny — chcąc pokazać, że czasy dawnych napadów, mordów i grabieży bezpowrotnie minęły.

Dochodząc do Blumenau, ładnego miasteczka ukrytego wśród palm, indjanie spotkali Caricze, jadącą wózkiem doktora Genscha.

Caricza zobaczyła ich zdaleka i coś — jak przez mgłę — zaczęło jej się przypominać...

Dzieciństwo i chwile w dziewiczej puszczy spędzone — twarze wojowników przywiodły widać przed oczy postać ojca, którego prawie nie znała.

Coś się tam dziać musiało w tej biednej ucywilizowanej botokudzkiej duszyczce, bo nagle, skoro indjanie się zbliżyli, rozpłakała się, skoczyła między gromadę i ściskając ich wykrzykiwała jakieś, dawno nieużywane botokudzkie wyrazy.

Przybysze w mig przypomnieli sobie historję zniknięcia małej dziewczynki, a widząc jej łzy, zrozumieli, że biali ją ciężko widać krzywdzą.

Przyjazne zamiary, z któremi przybyli, zmieniły się w krwawą żądzę odwetu.

Chcieli palić... niszczyć... zabijać...

Niemałą robotę miał Eduardo nim uspokoił swą bandę i wytłomaczył oburzonym wojownikom, że nikt Cariczy nie krzywdzi, wreszcie dał jej do wyboru: powrót do *tolda*, lub do Blumenau.

Caricza, zobaczywszy co się święci, przeraziła się, ale w wyborze nie mogła się zawahać: dawne dzikie życie na łonie natury już jej nie ciągnęło... wolała, oczywiście, zostać w mieście u przybranego ojca.

Indjanie wrócili spokojnie do swych obozowisk, ale przerażony dr. Gensch czemprędzej wyprawił pannę Caricze do Berlina, gdzie nie jest już narażona na niebezpieczne wizyty swych współplemieńców.

A działo się to bardzo niedawno — zaledwie kilkanaście miesięcy temu.

Nastroje wojenne obecnie uległy zmianie i dziś indjanie nie atakują kolonji polskich, rozszerzających swe posiadłości w kierunku góry Tayo. Dziś już coraz dalej i dalej w stronę botokudzkich told spotyka się słowiańskie, zadzierzyste twarze naszych ziomków, którzy z pionierską zaciętością borykają się z dziewiczą puszczą.

Żony i dzieci pozostawiali na starych kolonjach, a sami karczują las pod nowe plantacje.

Odwiedzają ich czasem indjanie... stosunek zawiązał się przyjazny.

Kiedyś pewien dobroduszny botokud wyraził przypuszczenie, że szanowny przybysz zapewne tęskni do swej rodziny.

— Ano, pewnie — odpowiedział nasz poczciwy kolonista, wspomniawszy żonę i dzieci, które zostawił w Itayopolis.

Ale uprzejmy botokud nie dał mu się długo martwić, przysławszy swoje żony, żeby więcej nie tęsknił.

Kontakt między naszymi a indjanami staje się coraz bliższy, już niema dziś mowy o napadach. X. Kominek niestrudzenie urządza misjonarskie wyprawy, uciążliwe i długie, bo z plebanji do tolda jedzie się 6 dni konno i łodziami.

Raz pojechał w towarzystwie murzyna.

Dzicy pierwszy raz zobaczyli czarnego człowieka, a myśląc że taki brudny, choć sami są niesłychanymi brudasami — postanowili go umyć.

Dobroduszny negr nie oponował, szczerząc w uśmiechu swe śnieżne zęby.

Mycie na nic się nie zdało. Indjanie zobaczywszy, że wysiłki idą na marne, bo skóra nadal koloru nie zmieniła... obrazili się, odeszli na bok i zaczęli rzewnie płakać, z żałości, że ich tak oszukano.

— *Koniąrąbą!* (małpa-) — skarżyli się, pokazując na rozbawionego całą tą hecą murzyna.

Do małpy jednak indjanin wogóle czuje sentyment, przyznając się nawet do pewnego z nią pokrewieństwa. Legenda bowiem głosi, że kiedyś, bardzo, bardzo dawno — był wielki, wielki deszcz.

Padał tak długo, że zalał tolda, lasy i nawet górę Tayo. Tylko na jej wierzchołku na wysokie pinjory powłazili indjanie i czekali, aż się rozpogodzi.

Wreszcie słońce zabłysło i woda zaczęła opadać.

A kiedy wyschło zupełnie, śmielsi zeszli na ziemię, ale dużo indjan pozostało na drzewach, gdyż bali się nowego potopu i tak się przyzwyczaili do życia wśród gałęzi, że ich dzieci i wnuki na ziemię już nie powróciły.

Pewien gatunek małp — pospolitych w tamtych stronach — nosi nazwę *„Miko“*, co znaczy — człowieczek.

Zatem według teorji indjańskiej, nie człowiek od małpy, ale małpa pochodzi od człowieka.

Ciekawe, czy wiedział o tem Darwin?

* * *

Stosunki między białymi a indjanami układają się, jako rzekłem, coraz pomyślniej. Nie wiem kto na tem lepiej wyjdzie. Eduardo — król indjan — wprowadza coraz to śmielsze inowacje i cywilizuje na gwałt swych poddanych.

Boję się jedynie, żeby nie spotkał go czasem los Amanullaha. „Posada“ władcy nie jest dziś najpewniejszą!

Zresztą, *qui vivra, verra...*

Ukazał się ostatnio nowy bogato ilustrowany numer gwiazdkowy „Lotu Polskiego“. Treść: Życzenia redakcji. Artykuł mjr. dypl. Romeyki „O służbie obserwacyjno-meldunkowej“. Artykuł płk. Mario Roatta (attache wojsk. Italji) p. t. „Pierwsze zawody turystyczne Italji“. B. Jałowiecki pisze o lotnictwie komunikacyjnem w Rosji sowieckiej. Nowela Zygmunta Kaweckiego, cenionego autora „Fury słomy“, p. t. „Obłok i ziemia“, oraz wesoły feljeton Jerzego Lewestama p. t. „Żądamy powietrza“ — stanowią treść literacką numeru.

Dyr. L. O. P. P., Władysław Baliński, pisze o nowym programie Ligi.





ANTONI BOGUSŁAWSKI

Kogut albo feljeton.

Proszę nie myśleć, że skwapliwie imam się tematu myśliwskiego, ponieważ największy nemrod pomiędzy kolegami po piórze, Juljan Ejsmond, został chwilowo odsunięty od spraw świeckich, do których go zresztą, po wzięciu sprawy na rozum, przywrócono. Wątpię, czy rygory administracyjne względem tego urzędnika państwowego mogły były być posunięte tak daleko, iżby cofnięto mu kartę łowiecką i pozwolenie na broń oraz na — pisanie. A jeżeli Ejsmonda nie rozbroić, to pisać nada! o polowaniu będzie — i w dodatku lepiej od innych. Nie staję więc w szrankach, jako konkurent ani jako zastępca. Geneza tego feljetonu jest znacznie prostsza. Redaktor „7 dni", człowiek chciwy na profit, dowiedział się, że jadę na bażanty. — Jedziesz na koguty? — przywieź koguta. Nie będzie koguta? — ma być feljeton. Ponieważ kogut bażanci jest to stworzenie lotne i znacznie mniej uchwytne od zwykłego Chanteclaire'a, przeto bezpieczniej było dla stron obu zatrzymać się na feljetonie. Względny redaktor nie wymówił sobie nawet, aby feljeton pisany był baraniem piórkiem. Dzięki i za to!

W tem miejscu zaczyna się właściwy feljeton i wielki kłopot dla autora. Niedawno tak kompetentny w tych sprawach człowiek, jak Wacław Grubiński, oświadczył, że feljeton pisze się bez tematu. Dał przy tej okazji odcinek, mieniący się wszystkiemi barwami tęczy i lekki, jak bańka mydlana — prześliczny. Miał w sobie ten odcinek coś z krasy rajskiego ptaka. Byłoby może bardziej *à propos*, gdybym powiedział: z bażanta. Ale to przywodzi zaraz na myśl albo pieczyste, pięknie przyodziane w skrzyd.a i ogon, albo ciężki upadek zestrzelonego nad głową koguta. Więc nie nadużywajmy porównań.

Późna jesień w Polsce miewa łagodnie uśmiechnięte dni, kiedy słońce potrafi dogrzewać leciutko w południe, a krzaki i zagajniki pełne są cudownych, rudo-rdzawych plam. Od pól zoranych ciągnie surowa woń ziemi. Po białym szronie, który rankiem leżał na łąkach, zostały zwarzone źdźbła traw. Szeroko oddycha się piersią na piotrkowskiej równinie, pełnej dosytu i spokoju. Wzrok, nie zatrzymywany niczem, bieży daleko przed siebie i wchłania cząstki krajobrazu — ówdzie lasek niewielki, tam stawek, a tam znów folwark — tak z nim zespolone, że nie psują wrażenia bezwzględnej płaszczyzny. Niema w niej przykrej jednostajności stepu, bo jest rozmaitość szczegółów, ale stonowanych, ale wtopionych w ten przestwór i w to blade niebo. Takie dni bierze się w siebie, jako pamiątkę od przyrody rodzinnej na całą długą zimę.

Uprzejmy gospodarz w przeddzień polowania ma swoje ciężkie kłopoty. Nie z wyznaczeniem miotów i z planem; te rzeczy uregulowane są, jak w zegarku. Nie ze zwierzyną również; hoduje ją, dokarmia i wie, gdzie się czego spodziewać. Nie z naganką nawet; zawsze na ten sport są amatorowie. Ale z gośćmi! Przyjeżdżają mu z różnych stron i na różne pociągi. Jeden taki („mówię, bom smutny i sam pełen winy) kombinuje sobie pociąg, który go przywozi dobrze po północy, na parę godzin przed pobudką. Szczęście, że to bażanty i do dnia wstawać nie trzeba.

Zresztą zapowiedziane są w niektórych miotach kozły, a wszędzie — zające i króliki. Z zającami w tym roku — bieda; co powiat, to inny termin polowania, ze względu na ubiegłą ostrą zimę. Kiedyś i gdzieś to ogłaszano, ale doprawdy trudno spamiętać. Gospodarz marszczy czoło i frasobliwie przegląda kalendarz myśliwski.

Zato co do królików niema wątpliwości. Szary ten ludek, ni to zajęczy, ni koci, dostatecznie daje się we znaki sadzonkom i zagajnikom, żeby nie zasługiwać na względy, bo i plenny jest niczem (jak to Bismarck powiedział) słowiańskie ludy. Ba! Ale też strzał bez porównania trudniejszy, niż do zająca. Śmiga ów drobiazg tam i zpowrotem, pod nogi nagonce idzie, do norek wpada. Tylko pewne w stosunku do królika myśliwskie przesądy nie każą poczytywać strzału doń za równie amatorski, jak strzał do bekasa. A naprawdę przedstawia w złożeniu się znaczne podobieństwo.

Na tak urozmaiconem polowaniu, polujący z jedną fuzją są w pewnej rozterce: jakim numerem nabijać? Czwórka na bażanta i królika, dwójka na zająca, kula na kozła... Będzie, jak Bóg da! Z wyjątkiem kozła, czwórka wydaje się w tym dniu najbardziej uniwersalna. A w „pewnym" koźlim miocie można ostatecznie mieć w jednej lufie kule.

Zaczynamy od młodych zagajników. Zdaleka dochodzą głosy nagonki. Na skrzydłach — parę strzałów. Co? króliki. Wynik mizerny, ale też więcej tutaj nie można się było spodziewać.

Im dalej w las, tem nietylko więcej drzew, ale i poważniejsze horoskopy. Jeden zakład, drugi wzdłuż szerokiej przesieki leśnej. Gospodarz miejscami każe odstrzeliwać zające; miejscami, gdzie niedawno puszczano matki, zdumione szaraki przeskakują linję, nie pojmując zapewne wzgardliwej obojętności myśliwych. Ot, i śliczne stadko kóz, pięć sztuk, przeszło drogę, w powolnych, elastycznych, jakby hamowanych skokach. Mamy szczęście do płci pięknej; sultan tego stadka obrał sobie inną marszrutę.

Ale oto i typowe mioty bażancie. Nagonka goni uciekające piechotą ptaki. które tuż przed linją zrywają się z ciężkim, prawie metalicznym pobrzękiem skrzydeł. A może tak się zdaje, bo takie są piękne, jak z kruszcu ulane, w swych lśniących piórach, te zielonozłociste „mongoły". Kilka już spadło — i znowu szum. Na sąsiedniem stanowisku, do którego szum ten się zbliża — cisza, i tylko szept ostrzegawczy: „kura!" Jeszcze raz szum, strzały, krzyki „Tire naut!" Sąsiad z lewej strony, na stanowisku narożnem, zrzuca ślicznym dubletem dwa koguty.

Sójki drą się jak opętane, i robią najwięcej hałasu, jakgdyby z pretensją, że się do nich nie strzela. Przechodzimy na mokrą łąkę, zrzadka porosłą niskiemi krzakami. Tu dopiero raj bażanci, a raczej myśliwski. Typowy teren, bażanty być muszą, przytem każdy strzał na oczach ludzkich, nic się ukryć nie da.

Zdaleka ukazuje się tyraljera naganki, i ptaki zaczynają się zrywać. Inaczej, jak w lesie, widać je na względnie odległy dystans; jest czas przygotować się do strzału. Tylko jeszcze bodaj łatwiej, niż w lesie, tu się omylić, bo słońce maluje skromniejsze piórka bażancicy w kogucie kolory, a emocja myśliwska dorabia jej ogon. To też myśliwi ostrzegają się bez ceremonji, tembardziej, że jest kiedy. Strzały padają obficie. I — redaktorze! Mógłbyś wybierać: feljeton czy kogut? A nawet kilka kogutów...

Ta osobista dywersja niech mi nie będzie za złe poczytana, bo oto przychodzi dywersja nowa, w postaci obrażonego prawa. Od dłuższego czasu obserwuje nas z szosy dwuch rowerzystów. — Policjanci! — konstatuje ktoś spokojnie. — A nie postrzelcie ich tam!...

Myśmy ich nie postrzelili, ale oni zrobili nam, a raczej naszemu miłemu gospodarzowi, scenę. Polowaliśmy, jak się okazało, dokładnie na dwanaście godzin przed terminem, w którym w owym właśnie powiecie wolno było strzelać do zajęcy. A tych zwierzaków coś osiem leżało na bryczkach. Ano, prawo prawem! Zapisali, co im było potrzeba, a nawet wysłuchali zasłużonego komplementu, że na głos strzałów przyjechali stosunkowo zdaleka.

Po tem intermezzo ruszono wesoło do leśniczówki, gdzie urocza pani domu oczekiwała z niezawodzącym nikogo na polowaniu łupem — śniadaniem. Potem wzięliśmy jeszcze kilka miotów, w których widok zajęcy przejmował nas zrozumiałą trwogą przez karzącą ręką sprawiedliwości. Skończyło się na tem, że w ostatnim miocie, o szarej godzinie, ktoś puścił na drodze leśnej bez strzału lisa, bo nie był pewny, czy to nie zając. Tak się przynajmniej tłumaczył, i musieliśmy uznać to za ukorzenie się siły przed prawem.

Że potem najmilsza gościnność kazała nam pożałować, iż mieliśmy wilcze apetyty podczas śniadania — to jest wiadome i to do rzeczy nie należy. Że był *bridge* i taki burgund, o którym umiałby cały feljeton napisać Kleszczyński — to również ma tylko luźny związek z bażantami. Natomiast ściśle łączy się z niemi jedno jeszcze wspomnienie.

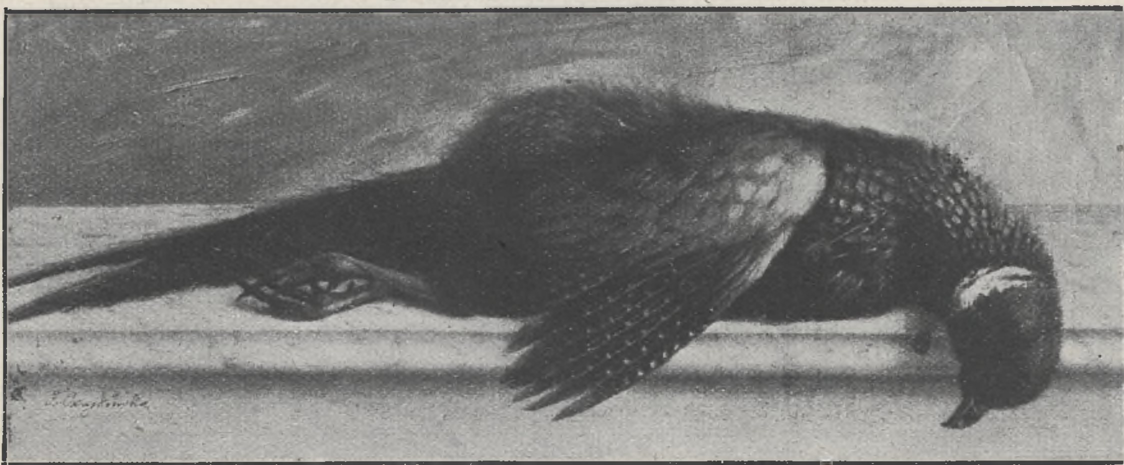
— Czy zauważyli panowie — powiedział ktoś przy stole — że większość kogutów szła na profesora?

— Wiedziały, co robią, bo on wszystkie puszczał bez strzału...

— Proszę państwa — oświadczył poważnie napastowany — odkąd latam na awjonetce, nie strzelam do żadnego stworzenia, które też lata. To jest dla mnie lotnicze *tabu*.

W tem koleżeństwie powietrznem między człowiekiem a ptakiem jest coś ze stylu świętego poety z Assyżu. Nie wiem, czy wolno mi być niedyskretnym i wymienić nazwisko naśladowcy?

Nie zrobię tego. Powiem tylko, że to wielki malarz i nauczyciel, który również stworzył bractwo, i najpogodniejsza, nawet pośród artystów, dusza.



Bażant. *M. Czajkowska.*



Operatorzy w oczekiwaniu na zdjęcia.
(Fot. Metro).

Z tajemnic kinematografji.

Żadna sztuka nie dostała do swej dyspozycji takich ogromnych środków finansowych, jak kinematografja. Nawet w początkach swego istnienia, gdy zdawało się, że kinematograf odegra zaledwie rolę rozrywki, stojącej na poziomie „Luna-parków" i zabaw ludowych — nie zabrakło nigdy kapitalistów do subsydjowania nowej imprezy.

Dlatego też kinematograf z niezwykłą śmiałością sięgał po nadzwyczajne efekty, nie krępując się wydatkami, aż doszedł do tego wysokiego stopnia techniki, na którym stoi obecnie, i z którego niezawodnie podniesie się jeszcze dalej.

Bo technika kinematograficzna jest właśnie sprawczynią złudzeń tak silnych, że często wywołuje w widzach wzruszenia i podniety zgoła naturalnego charakteru.

Weźmy np., często wyzyskiwane w filmach, ukazywanie się duchów, zjaw i obrazów halucynacyj. Duży efekt tych scen osiąga się w stosunkowo prosty sposób, mianowicie przez podwójne fotografowanie. Wtedy po zdjęciu otoczenia, przepuszcza się jeszcze raz film od początku, tym razem zdejmuje tylko aktora, mającego odegrać rolę zjawy, który posuwa się na tle czarnego sukna. Trochę bardziej skomplikowana jest praca, gdy dany aktor musi ukazać się dwa razy w tej samej scenie, np. gdy chodzi o dwoje bliźniaczo podobnych do siebie ludzi. Wtedy pokrywa się połowę taśmy t. zw. „maską" i robi się zdjęcie pierwsze, poczem, przeniósłszy maskę na drugą połowę, robi się powtórne zdjęcie na pierwszej połowie. Czasami artysta grający, musi pocałować sam siebie. Sztuka ta należy do trudniejszych i daje się wykonać w powyższy sposób, przy zręczności operatora. Pozatem sceny takie robi się celowo krótkiemi, aby widzom nie dać czasu do namysłu, i ofiarować mu zupełne złudzenie.

Podobny sposób był zastosowany przy zdjęciu do filmu komicznego, na którem widać było 50 osób, wychodzących z jednego samochodu. I tutaj zdjęcie powtórzono dwa razy; raz przy niewidocznych j e d n y c h drzwiczkach, przez które wchodzili niewidocznie artyści, wychodzący potem przez widoczne drzwiczki — drugi raz przy zamkniętych pierwszych drzwiczkach. Złudzenie było zupełne, i nad tą sztuczką, trzymaną w tajemnicy, przez długi czas łamano sobie głowy.

Są jednak wypadki bardziej złożonej techniki. Do takich należy np. skok ze skały po jednej stronie przepaści na skałę po drugiej stronie. Takiej sztuki nie podejmują się nawet najwytrawniejsi akrobaci, i nawet w Ameryce, gdzie, jak wiadomo, jest cała kategorja zawodowców, narażających swe życie dla kinematografu, podczas różnych zderzeń aeroplanów, skoków ze spadochronem i innych karkołomnych ewolucyj.

W danym wypadku istnieje stuprocentowa niemal szansa śmierci, i dlatego technika musiała przyjść na pomoc.

Urządza się to w ten sposób, że aktor wykonywa skok do góry na jednej stronie przepaści, i to samo odbywa się na drugiej, przyczem oba skoki są sfilmowane. Następnie taśmę ze zdjęciem wycina się w ten sposób, aby z jednej strony została chwila, w której aktor jest w górze, a z drugiej — chwilę gdy spada. Wystarczy teraz sfotografować z oddali krajobraz i wkleić go między oba końce taśmy. Aby oddać przelot człowieka nad samą przepaścią na filmie robi się znaczek, który przy odległości obrazu i błyskawicznej prędkości jego przesunięcia, doskonale wyobraża pożądaną scenę.



Krew w żyłach mrożąca scena nad przepaścią.
(Fot. Petef).



Bessie Love wypadła rola fruwającego anioła.
(Fot. Metro).

Przypominają sobie zapewne wszyscy film, wyświetlany przed trzema laty, treść którego zaczerpnięta była z powieści Conan Doyle'a. Chodziło o angielską ekspedycję naukową, która w jakimś zakątku świata natrafiła na świat przedpotopowy. Na ekranie widać było potężne bestje minionych epok, staczające ze sobą zacięte walki. Mało kto domyślał się zapewne, że owe monstra, to są doskonałe modele automatyczne, nie większe na wysokość od 50—60 cm, wykonane z precyzją przez mechaników. Sceny, w których owe zwierzęta występowały same, poruszając się i walcząc z sobą, należały do najłatwiejszych, gdyż wystarczyło przysunąć aparat bardzo blisko, aby małe zabawki wydały się na ekranie apokaliptycznemi bestjami. Trudniej nieco było ze scenami, w których obok zwierząt, występowali ludzie. W tym wypadku znów zastosowano podwójne zdjęcie. Jak łatwo było zauważyć, ludzie na omawianym filmie nigdy nie znajdowali się na jednym poziomie ze zwierzętami, a nieco niżej.

Pochodziło to właśnie stąd że zwierzęta były sfotografowane wprzód, w opisany powyżej sposób na górnej części taśmy, podczas gdy była zamaskowana dolna jej część, na której potem zdjęto ludzi, otrzymując doskonały rezultat: ludzi normalnej wielkości i zwierzęta — olbrzymy.

Drugim, niemniej powszechnie znanym filmem, była tragedja morska, przedstawiająca atak marynarki angielskiej na Zeebrugge, podczas ostatniej wojny. Należy wyznać, że obraz był pełen grozy, gdyż widz dokładnie miał przed oczami wszystkie perypetje krwawej bitwy. Otóż cały ten wspaniały prawdziwie film wykonany został przez czterech tylko ludzi, którzy z benedyktyńską cierpliwością sporządzili dokładne modele portu z jego akcesorjami, jak również okrętów i łodzi podwodnych, które pływały w niewielkim basenie.

Z. K.



Model okrętu, który ma zilustrować katastrofę pożaru na pełnem morzu.
(Fot. Petef).

DZIAŁALNOŚĆ ZWIĄZKU SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW RZECZYPOSP. POLSKIEJ

PRODUKCJA WŁASNA ZWIĄZKU

MĄKA OTRĘBY
5571,8 ton
2896138,20 zł

MYDŁO
972,1 ton
1628169,88 zł

TORBY
440,9 ton
389034,90 zł

PASTA DO BUTÓW ZAPRAW DO PODŁ.
137,0 ton
505832,73 zł

CUKIERKI
167,7 ton
46842[illegible] zł

ESSENCJA OCT.
30,7 ton
157319,56 zł

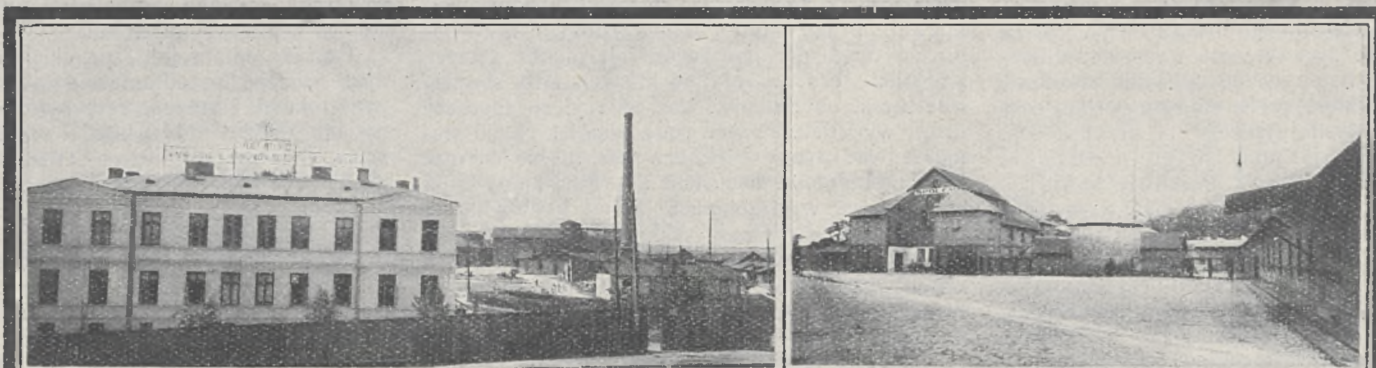
TARTAK
2981,6 m³
351481,58 zł

GILZY
50933000 szt.
73876,79 zł

SKRZYNIE
51378 szt.
171802,88 zł

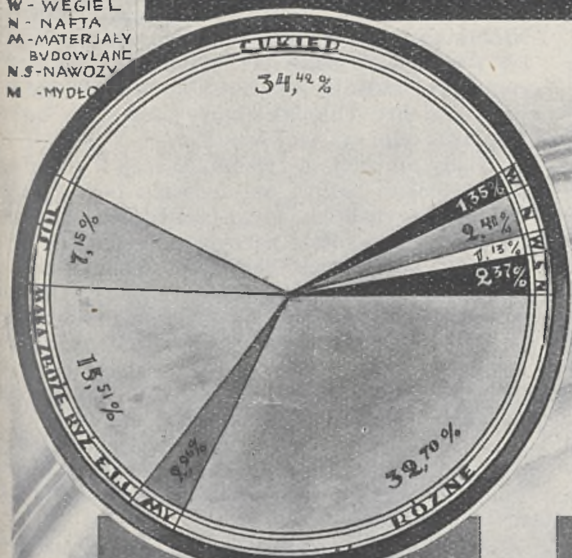


MŁYN ZWIĄZKU W RADOMSKU



ZAKŁADY WYTWÓRCZE ZWIĄZKU W KIELCACH I FABRYKA CUKIERKÓW WE WŁOCŁAWKU

OBJAŚNIENIA
W - WĘGIEL
N - NAFTA
M - MATERJAŁY BUDOWLANE
N.S - NAWOZY
M - MYDŁO

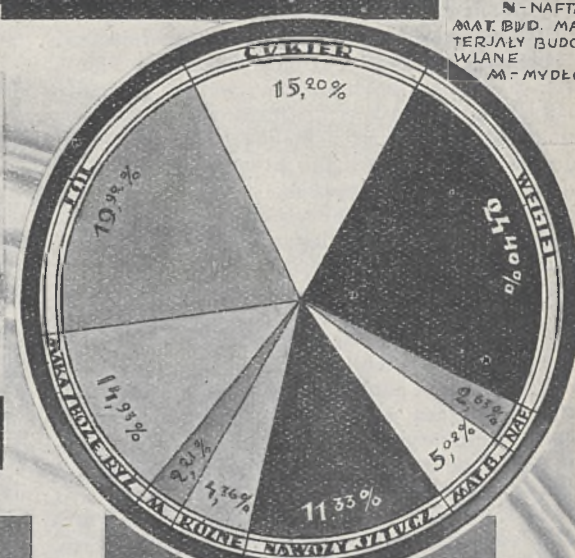


PROCENTOWY SKŁAD OBROTÓW TOWAROWYCH ZWIĄZKU
WARTOŚĆ



CENTRALNA SIEDZIBA I SKŁADY TOW. ZWIĄZKU W WARSZAWIE

OBJAŚNIENIA
N - NAFTA
MAT. BUD. MATERJAŁY BUDOWLANE
M - MYDŁO

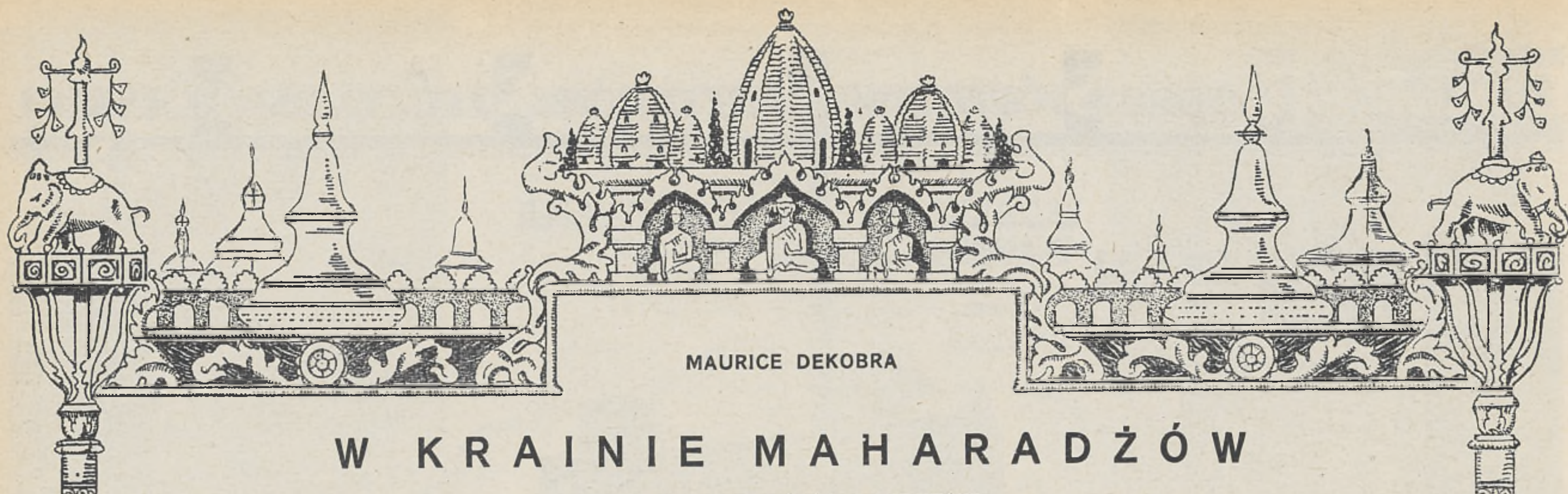


PROCENTOWY SKŁAD OBROTÓW TOWAROWYCH ZWIĄZKU
ILOŚĆ



SÓL	8%
CUKIER	7%
RYŻ	6%
WYROBY TYTUNIOWE	5%
TŁUSZCZE JADALNE	4%
TOWARY KOLONJALNE	3%

ROLA ZWIĄZKU W OBROCIE TOWAROWYM POLSKI



MAURICE DEKOBRA

W KRAINIE MAHARADŻÓW

FIVE O'CLOCK WŚRÓD BANDYTÓW.

Atmosfera prowincji, stykającej się z północnocno-zachodnią granicą, nienależy do najsympatyczniejszych. Nie są to już Indje, ale jakgdyby przedpokój Afganistanu. Peshawar, który nosi miano Paryża Pathanu, niczem nieprzypomina jakiegokolwiek innego miasta Indyj. Wśród wąskich, krętych zygzakowato uliczek, na licznych placykach, trudnych do opisania, przelewa się tłum ludzi, wałęsających się bezczynnie, rozmawiających, dyskutujących i krzyczących. Wszystkie rasy mają tutaj swych przedstawicieli. Kupcy z Samarkandy, Persowie w turbanach z owczej skóry, bandyci z gór, wystrojeni w swe łachmany jak don César de Bazan, zbrodniarze zbiegli z Waziristanu, rzeźnicy, Sikhsowie, w dziwacznych fryzurach, przypominających Andaluzję, pasterze z Pamiru, wielbłądnicy z Zakla Khel, starzy Pathanowie z haczykowatemi nosami, rudemi brodami, ze skórą przypominającą kolor henny, którzy mogliby świetnie służyć za żywą ilustrację do bajki o *Ali-Babie i czterdziestu rozbójnikach,* żebracy, trzymający w muskularnych dłoniach srebrne miseczki do zbierania pieniędzy, kobiety, odziane w białe szaty, z gęstemi zasłonami na twarzy, gromady psotnych wyrostków w łachmanach, dziewczynki o oliwkowej cerze, o pięknych rysach, przecudnych oczach, z noskami przekłutemi na złote ozdoby, całe to zbiorowisko okropnie brudne, nadzwyczaj ciekawe, niewypowiedzianie leniwe otluje się pomiędzy sklepami, rozkłada się na rynkach z żywnością, wsiąka w ślepe uliczki pełne wstrętnych wyziewów, świerzbowatych psów i bezczelnych wron.

Doszedłem do ulicy, zamieszkałej wyłącznie przez kobiety lekkich obyczajów, przez miejscowe Messaliny i panie de Pompadour, których źrenice błyszczą ogniście z pomiędzy warstw najprzeróżniejszych kosmetyków. Przypatrywałem się długo tym pięknym Pathankom, spacerując z moim przyjacielem z Peshavaru. Zajmował się rzeźnictwem, prócz tego pełniąc wysoki i odpowiedzialny urząd miejscowego kata. Piękna jego twarz, przypominająca swemi rysami twarz Chrystusa, otoczona była długiemi, czarnemi lokami. Z dumnie wzniesioną głową, kroczył przed siebie, rozgarniając trzymaną w ręku siekierą tłum, który następował nam niemal na pięty i opowiadał zajmującą historję o pewnej damie, która otruła swego wysoko postawionego protektora

— Czy *Sahib* widzi tego człowieka, wychodzącego z Moti Jhan? Przybywa on z doliny Kohat i pracuje przy wyrobie strzelb dla szczepów, mieszkających tam, w dole?

— Co ty mówisz? To tutaj się również wyrabia strzelby dla bandytów z przesmyku Khyber?

— Tak... Strzelby wyrabiane ręcznie... Warto jest to zobaczyć; niech *Sahib* poprosi wysokiego komisarza, ażeby mu towarzyszył do powstańców z Kohat.

*

Posłuchałem rady mego przyjaciela, kata o natchnionej twarzy proroka, i po przybyciu automobilem do fortu Aimal-Chabutra dostałem się znów pod opiekę *tazildara* komisarza z Kokat, z którym zapuściłem się w głąb nieznanego mi jeszcze, niepodległego kraju.

Przesmyk Kohat przypominał swoim ponurym wyglądem przesmyk Khyber. Spotykani od czasu do czasu *Kassandorowie,* w pełnem uzbrojeniu robili na mnie wrażenie naszych kolonjalnych rozbójników w Afryce. Przechodzące kobiety o cerze bronzowej, ubrane na czarno, zakrywały przed nami twarze, jednakże tak wolno, że mogliśmy podziwiać ich piękne twarze i głębokie, czarne oczy, w których tańły się wesołe błyski chochlików. Raz zdarzył się tego rodzaju wypadek. Pewien cudzoziemiec chciał sfotografować grupę pięknych Afriditek. Jeszcze niezdążył dobrze nastawić aparatu, kiedy kula karabinowa, wystrzelona z jakiejś kryjówki, na zboczu góry, strzaskała szkło objektywu. W ten dosyć oryginalny sposób, przypomniano ciekawemu cudzoziemcowi o konieczności dostosowania się do przepisów, obowiązującego w przesmyku Kohat, konwenansu.

— Oto przybyliśmy do fabryki broni, — zauważył *tazildar...* — Jesteśmy przez tych panów oczekiwani.

— Jakto? Jesteśmy na miejscu? A gdzież się mieści ta fabryka broni?...

Tazildar wskazał mi ręką coś w rodzaju muru, ulepionego z wysuszonego błota, który otaczał kilka niskich i nędznie wyglądających lepianek.

— Tam się wyrabia karabiny wojskowe.

Auto zatrzymało się. Momentalnie zostaliśmy otoczeni ze wszystkich stron tłumem dziko wyglądających i uzbrojonych od stóp do głów Afridytów. Olbrzymie ich ładownice wypełnione były po brzegi amunicją.

Serdecznie uścisnąłem dłoń właściciela fabryki, obwieszonego niemal aż do brody bronią, oraz przywitałem się z kilkoma jego pomocnikami, uzbrojonymi w rewolwery przeraźliwie wielkiego kalibru. Weszliśmy do fabryki, a właściwie na podwórze z ziemiankami, gdzie, pod czemś w rodzaju dachu, zrobionego z arkuszy falistej blachy, siedziało przy pracy około trzydziestu specjalistów Tokarnia poruszana przez małego chłopca, służyła do borowania otworów w długich drążkach stalowych, mających służyć za lufy. Wszystkie karabiny były robione ręcznie i to od kolby poczynając, a kończąc na muszce. Kopjowano tu, wprost precyzyjnie, wszystkie karabiny Martini i Lee Enfield, któremi była uzbrojona armja angielska. Nawet numery broni i jej cechy fabryczne były umieszczane w odpowiednich potemu miejscach.

— Co kosztuje u was taki karabin?

— Od 120 do 150 rupij (to znaczy od 1.100 do 1.400 franków). Od czasu kiedy kontrabanda bronią została uniemożliwiona, fabrykacja karabinów zaczyna się opłacać, tembardziej że Afganowie kochają się w broni. Jestem dostawcą powstańców, którzy napadają na Kassadarów, jak również Kassadarów, którzy walczą z powstańcami. Rząd angielski płaci miesięcznie Kassadarowi 30 rupij, jednakże nie daje mu uzbrojenia. Dlatego każdy z nich musi sobie sam sprawić karabin i nabyć do niego amunicję.

W tej chwili zjawił się jakiś młody terminator rusznikarski, zawiadamiając nas, że herbata jest gotowa. Weszliśmy do przedsionka, gdze na podłodze rozciągnięty został puszysty dywan Buchary. Pośrodku dywanu ustawiono biały, drewniany stolik z zastawą do herbaty oraz z talerzykami, na których zauważyłem ciastka i jajka na twardo. Zasiedliśmy do stołu, otoczeni zgrają złożoną ze czterdziestu przynajmniej dziko wyglądających postaci. Osobnicy ci z ciekawością przypatrywali się rzadko u siebie spotykanemu europejczykowi, który jadł i pił w towarzystwie *tazildara* i największego przemysłowca z przesmyku Kohat.

Herbata miała jakiś przykry smak. Młodzieniec, którego przedtem widziałem pracującego przy tokarni i którego ręce były czarne od smarowidła, obrał mi usłużnie ze skorupek dwa jajka. Czterdziestu innych Afriditów, z którymi nigdy w życiu, niemiałbym ochoty się spotkać w górach, po zachodzie słońca, uśmiechało się do mnie przyjaźnie.

Tazildar mówił płynnie po angielsku. Zaczął mi szeptać na ucho:

— Niechno się pan przypatrzy temu dryblasowi w łachmanach. Jego koszula wypuszczona na spodnie, aż lepi się od brudu. Potrafi on wpakować 10 kul, jedną po drugiej, w pudełeczko od papierosów Virginja, na odległość 400 yardów. Jest on wesołkiem swojego rodzaju. Nieraz zaszywa się gdzieś w górach i zabawia się strzelaniem, strącając kulami czapki szoferom, przejeżdżających aut. W gruncie rzeczy jest to dobry chłopak, który wszystkie swoje pieniądze topi w swej broni.

Nigdy nie zdołam zapomnieć tego five o'clock na tle dzikiej natury, w otoczeniu tych sympatycznych bryganów, przy jazz-bandzie uderzeń młotów w kowadła i zgrzytu pilników specjalistów od odtylcówek. Jedynym przemysłem tej olbrzymiej krainy jest przemysł śmierci. Ogromnie budująca konkluzja. Codziennie znajdywano, pomiędzy Malakand i Kurram z pół tuzina zastrzelonych, a już nie można było się doliczyć tych, którzy przepadali bez śladu. Mój przyjaciel, kat z Peshawaru miał rację, mówiąc:

— Podczas wojny zabija się z obowiązku. ...Prawda, że to śmieszne. Ale kiedy jest pokój, zabija się dla przyjemności.. Czyż to nie piękniejsze, *sahib?*

Auto toczyło się naprzód. Skręciwszy na drogę, która biegnie przez płaszczyznę otaczającą Kohat, zobaczyłem idącą czternastoletnią dziewczynę. Uśmiechała się do nas, niosąc na głowie obszerny dzban na wodę. Szła z wysoko podaną do przodu piersią, kołysząc się wdzięcznie w biodrach, na których obciskały się spadające w dół, pięknie drapowane pantalony.

— Woda jest w tym przesmyku prawdziwym uksusem, objaśnił mnie *tazildar.* Muszą one szukać wody w tych małych bagniskach, które pan widzi tam, na dole.

W miejscu, w którem mi wskazał *tazildar* ujrzałem, za kamienną groblą, małą, błotnistą kałużę, z żółto-zielonkawą wodą, w której, w danej chwili, jakiś poczciwy wół gasił swoje pragnienie, kapiąc jednocześnie wszystkie kopyta. Współczuwałem biednym ludziom z tego *tribal territory,* którzy byli zmuszeni pić tą wstrętną ciecz.

Tak, współczuwałem im głęboko... I w tej samej chwili, przypomniałem sobie z przerażeniem, że herbata fabrykanta karabinów miała jakiś dziwny zapach!...

(D. c. n.).



MĘŻCZYŹNI WOLĄ BLONDYNKI

(Dokończenie ze str. 5)

wieni. Są to kobiety wyjątkowe. Kobiety niebezpieczne na codzień. Kobiety od święta. Kobiety wielkich namiętności. Kobiety tycjanowskie, z zewnątrz spokojne i opanowane, wewnątrz płonące. Ich zielone oczy są jak spokojna powierzchnia krateru. Kobieta ruda nosi w sobie zawsze tajemnicę. To kobieta-problem. Kobieta, pociągająca urodą i zagadką. Zato trudna w spółżyciu. Dziwna i niepokojąca. Odblask minionej epoki w naszych demokratycznych czasach.

Mam wrażenie, że jesteśmy w przededniu kryzysu blondynki.

Włosy blond zaczynają być już obnoszone.

Zaczynają nudzić i nużyć.

Kiedy moda farbowania włosów dojdzie do absurdu, nastąpi przesilenie.

Włosy blond będą budziły przestrach śród mężczyzn.

Jakaś nowa Anita Loos napisze książkę p. t. „Mężczyźni nienawidzą blondynek“, ale prąd ten szybko przeminie.

Będzie tylko modą-reakcją przeciwko nadużyciom. Przeminie bez śladu i pozostanie trwały, charakterystyczny dla naszej epoki kult blondynki.

A teraz parę słów — w stronę nieblondynek.

Wszystko, co napisałem w tej materji — to reguła.

Od reguły są wyjątki.

Jeśli chodzi o rolę, jaką przypisuję wyjątkowi, to odsyłam do „Teatru i życia wytwornego“, gdzie pod innym coprawda pseudonimem, omawiam tę niezwykle ważną instytucję.

Ale regułą jest:
że Mężczyźni wolą blondynki!

Bobby.

OBRAZKI SĄDOWE

MANIAK

Sala I Sądu Okręgowego. Stół sprawozdawców sądowych obsadzony.

P. Henryk vel don Szapirsztejn, „obrońca w sprawach karnych, wyłączeniowych i rozwodowych“ wytoczył sprawę redaktorowi „Naszego Głosu“ o obrazę w druku.

Oskarżyciel — to znana sądom i urzędom postać. Setki skarg, zażaleń, podań, doniesień. Manja prześladowcza, czy manja wielkości, pieniacwo, czy nienormalność. „Nasz głos“ zamieścił wzmiankę reporterską o tem, że p. Henryk vel Leon Szapirsztejn po wyjściu z więzienia, gdzie odsiadywał karę za oszustwa — znowu stał się utrapieniem urzędów i sądów, które zasypuje bezsensownemi i bezpodstawnemi podaniami.

Oto tło sprawy.

Dziwna jest postać tego „obrońcy w sprawach karnych, wyłączeniowych i rozwodowych“. Mieszanina sprytu i dziwactwa, manji wielkości i manji prześladowczej; zaciera się granica pomiędzy normalnością“ a „anormalnością“.

Na pierwszy rzut oka — handlarz gęsi z małego miasteczka. Ale jest jakaś dostojność w twarzy. Duma i drażliwość.

Ze starej teki wyciąga zatłuszczone „akta“, odpisy, notatki, wreszcie kodeksy. Snać przygotował się sumiennie do sprawy.

Otacza go grupa sprawozdawców sądowych i młodych adwokatów. Chętnie udziela informacyj o sprawie, a jeszcze chętniej mówi o sobie.

— Z jakiego artykułu pan oskarża? pytają.

— Już ja wiem z jakiego ja oskarżam. Ja znam prawo. Jak jeszcze byłem panną, już wiedziałem o tem.

— Ale teraz jest nowe prawo?!

— Wiem, wiem — nowe prawo, stare prawo... żebym ja tyle nie wiedział, toby było lepiej. Ja za dużo wiem — to jest to...

— A co on panu zrobił ten redaktor?

— Jakto co zrobił? Niech pan nie udaje greka! Tak opisać biednego człowieka! Ale co to jest za redaktor? On wcale pisać nie umie... Taki litwin, przyjechał z Radomia i chce starych mieszkańców powiesić. Dali mu dwa pokoje z kuchną na Sierakowskiej ulicy i jest redaktor... Redaktor... redaktor... będzie warszawskich uczyć... podpisać się nie umie, a ja.... 30 lat praktykowałem... w Sądzie Okręgowym i w Sudiebnoj Pałatie — wszędzie!... a teraz mieszkania nie mam, płacę trzy złote za noc...

Tu starzec ma łzy w oczach. Milczenie. Po chwili jednak podnosi głowę i mówi mściwie:

— Co ja mu zrobiłem? Chleb mu odbierałem? Czy ja mam drukarnię? Napisał, że siedziałem w więzieniu (rejestr karny „manjaka“ jest bardzo zasobny w wyroki za oszustwa), no, to siedziałem... Ja byłem Macoch, zabijałem, kradłem, byłem Dreyfus — i siedziałem w więzieniu. ale odsiedziałem i kogo to obchodzi!... Przewrotnie (odwrotnie)! — on siedział, ale jak on siedział, to mu indyki przynosili. Ja tego starego obiję, otworzę mu głowę, dam mu parę razy w brzuch, to zdechnie!...

— To pójdzie pan do więzienia...

— To pójdę! — ale on żyć nie będzie. Kto pod kim dołki kopie — sam wpada!

— I pan to mówi, pan — prawnik?

— Właśnie, że prawnik! Ja byłem jeszcze pierw prawnikiem, jak była Polska!

— A co pan skończył, jaki uniwersytet?

Cała złość biedaka skupia się na adwokatach i dziennikarzach.

— Skończyłem, co potrzebowałem skończyć. Indyczkę skończyłem! A co panowie mają? spodnie, czysty kołnierzyk — nic więcej. „Łajdygajers“ (nieroby)! — nie mają co robić, to siedzą i piszą. Pokaż pan, co pan masz! Indyczkę? 10.000 złotych? nic pan nie masz! Ja w mojem życiu więcej ciastek jadłem, niż wy wszyscy! Adwokaci? Mają jedną sprawę na rok! Ma bogatą żonę — to jest adwokat. A pan, to wcale na adwokata nie wygląda. Gdzie się pan uczył! Co pan umie? Napisz pan kasację, to zobaczymy! Moja kasacja, a pańska kasacja, moje motywy a pańskie motywy.

— Ale ma pan silnego przeciwnika — mówi jeden ze sprawozdawców, wskazując na wysokiego i reprezentacyjnego obrońcę oskarżonego redaktora — aplikanta adw. Fogla.

— Co tam silny... Pan Bóg może położyć największego... Dawid Goljata położył...

Dzwonek. Sąd idzie.

Oskarżyciel prywatny popiera oskarżenie. Znowu mowa o litwinie z Radomia, o mieszkaniu na Sierakowskiej, o indyczce.

Świadkowie obrony:

Zeznaje lokatorka mieszkania, z którego Szapirsztejn został eksmitowany za brewerje.

— Czy to prawda, co było napisane w „Naszym Głosie“, że Szafirsztejn chodził nago po mieszkaniu?

— Wszystko prawda! Chodził jeszcze gorzej, niż nago...

Konsternacja. Ale sąd nie chce wchodzić w szczegóły.

Następny świadek składa zeznanie podobne. Inni świadkowie potwierdzają okoliczności, podane we wzmiance reporterskiej. Oskarżyciel jest nieco przygnębiony. Swada go opuściła. Na pytanie przewodniczącego, czy chce zapytać o coś świadka posterunkowego — odpowiada: Chcę! — Pyta: — Czy pan jeszcze coś wie?

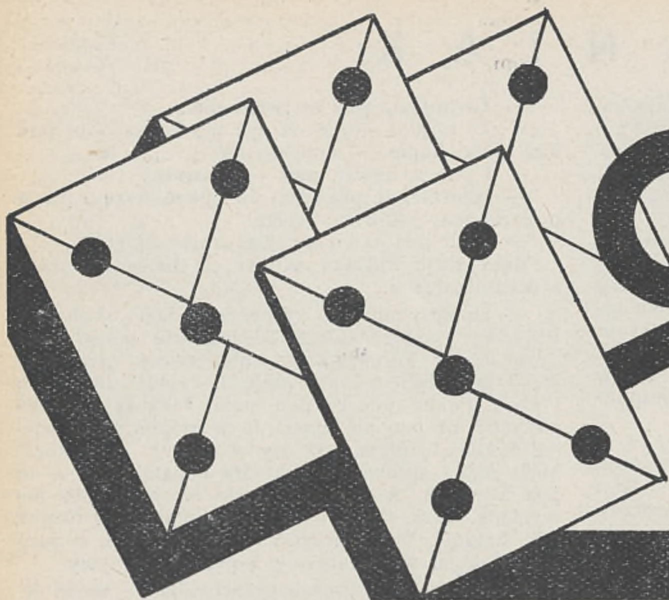
Przewód skończony. Mowa oskarżyciela. Powtarza znane rzeczy, tylko indyczkę zamienia na gęsinę.

Mowa obrońcy. Ma zadanie tak łatwe, że trzeba dużo taktu, by nie nadużyć swej powagi. Rzeczywiście mówi z taktem, umiarem i humorem. Sąd udaje się na naradę. Oskarżyciel nie czeka na wyrok. Zrozumiał, że przegrał i ukradkiem opuścił salę.

Biedny stary manjak — obrońca w sprawach karnych, wyłączeniowych i rozwodowych...

I. E.

JANUSZ MEISNER



CZWARTA KOPERTA

(Ilustrował Jerzy Radlicz)

Gdyby nie chwilowy katastrofalny brak pilotów, Konarski nigdy nie zostałby kontraktowym oficerem angielskiej eskadry Dalekiego Wschodu. Przybywał z za bolszewickiej granicy, miał słowiańskie — a zatem, według mniemania anglików, rosyjskie — nazwisko i wogóle nie budził zaufania. Wprawdzie sir Reginald Folkestone ręczył za niego, ale nawet poręczenie konsula Wielkiej Brytanji w normalnych warunkach nie wystarczyłoby zapewne dla przyjęcia obcokrajowca do Lotnictwa Jego Królewskiej Mości.

Na szczęście dla Konarskiego, warunki nie były normalne: Czang-Ha-Fu, miejsce postoju eskadry, było odcięte od reszty świata przez wojska Czang-Kaj-Szeka i od dwóch miesięcy wszelka komunikacja pomiędzy garnizonem tego miasta a Nankinem odbywała się jedynie przy pomocy samolotów wojskowych. W pierwszych dniach czerwca wojska południowe, obserwujące dotychczas obojętnie przeloty angielskich płatowców nad swemi pozycjami, zajęły nagle stanowisko wrogie w stosunku do nich. Wynikiem tego była śmierć dwuch pilotów, którzy zostali zestrzeleni w górach przez chińskie karabiny maszynowe. Wkrótce potem w Czang-Ha-Fu wybuchła epidemja cholery, zabierając wraz z mnóstwem ofiar jeszcze trzech pilotów eskadry. Zostało ich dwuch, ilość zupełnie niewystarczająca nawet do patrolowania okolic zagrożonego miasta.

Szczupły garnizon, w postaci dwuch kompanji piechoty i plutonu karabinów maszynowych pod dowództwem majora Mc. White'a, przygotowany był na każdą ewentualność. Nikt właściwie nie wiedział dokładnie w jakim celu przysłano tu eskadrę i ów półbataljon. Dowództwo angielskie było niezdecydowane, rozkazy niejasne i często sprzeczne z sobą. Wreszcie — po zerwaniu łączności z Nankinem — sytuacja stała się zupełnie zagadkową: major White nie miał pojęcia o tem, co się dzieje na froncie i kto z kim walczy. Nie znając stanowiska dyplomacji angielskiej, nie mógł powziąć żadnej decyzji i czekał na dalszy rozwój wypadków, zdecydowany jedynie w ostateczności użyć swych sił w walce.

Dżdżysta pora roku i karabiny maszynowe chińczyków czyniły przeloty do Nankinu oczywistem szaleństwem.

To też Mc. White, oszczędzając cenne płatowce i pilotów, zaniechał wysyłania ich po rozkazy i ograniczył się do pogotowia w koszarach i na lotnisku.

Na taką chwilę trafił Konarski; nie mając nic innego do roboty, zgłosił się u majora White'a i został zakontraktowany na sześć miesięcy w randze porucznika lotnictwa.

Po czterotygodniowym pobycie w eskadrze jego stosunek do kolegów nie zmienił się ani na jotę: Konarski, czując otaczającą go atmosferę nieufności i nie mając okazji jej przezwyciężyć, zamknął się w sobie i zaprzestał wszelkich prób zbliżenia. Ze swej strony nie darzył nikogo z tych ludzi specjalną sympatją, z wyjątkiem jednego może Mc. White'a, którego znał zresztą tylko ze stosunków służbowych.

Z domem konsula łączyła wprawdzie Konarskiego dawna przyjaźń, ale w okresie wojny nici jej rozluźniły się. Po złożeniu wizyty oficjalnej u Mr. Folkestona i podziękowaniu za protekcję, Konarski nie bywał tam, nie chcąc się narzucać.

Czas poza służbą upływał mu w samotności na czytaniu książek, których miał na szczęście spory zapas. Angielscy jego koledzy wiedli niemniej jednostajny tryb życia, grając w karty i pijąc w kasynie, lub oddając się potrosze paleniu opium w chińskich herbaciarniach, mimo surowego zakazu majora White'a. Trzymali się zdala od „słowianina" — jak go powszechnie nazywano.

Ich zainteresowanie jego osobą wzrosło na krótko zaraz po jego przybyciu do eskadry tylko na punkcie latania. Gdy się przekonali, że potrafi im dorównać w powietrzu, zyskało mu to — obok ukrytej niechęci — pewną dozę szacunku, ale nic pozatem. *Żył obok nich* nie *z nimi.* Przyzwyczaili się do tego stanu rzeczy i uznali go za normalny. Wszyscy pragnęli tylko jednego: wyrwać się z tej śmiertelnie nudnej dziury, w której tkwili bezczynnie od dwóch miesięcy.

Nic jednak nie zdawało się zapowiadać jakiejkolwiek zmiany: w dalszym ciągu brak było wiadomości o stanowisku rządu angielskiego w wewnętrznym zatargu chińskim, masy wojsk południowych nadal otaczały z południa i od wschodu Czang-Ha-Fu, a ostatni rozkaz, otrzymany przez komendanta garnizonu przed miesiącem, zalecał jedynie neutralną obserwację dalszego rozwoju wypadków. Ludność miejscowa nie interesowała się zagadnieniami politycznemi i z równą obojętnością odnosiła się do wojsk powstańczych, rządowych i do angielskiego garnizonu. Tak przynajmniej mogło się wydawać napozór. W mieście panował spokój, mącony tylko czasem odgłosami strzałów daleko na południu i wschodzie.

Wreszcie jednak monotonję życia eskadry lotniczej w Czang-Ha-Fu przerwało niezwykłe zdarzenie: O godzinie drugiej nad ranem, goniec na motocyklu przejechał pędem przez ciasne ulice miasta, rozwożąc do wszystkich trzech pilotów wezwania, aby niezwłocznie stawili się u dowódcy.

— Zaczyna się — pomyślał Konarski bez entuzjazmu, zapinając pas na polowym frenczu. Nie wiedział, co mianowicie miało się zacząć i było mu to dość obojętne. Jeśli zaszłaby tego potrzeba, gotów był bić się wraz z anglikami przeciw komukolwiek, jak robił to na wielu frontach Wielkiej Wojny, w armjach aljantów i w armji polskiej wreszcie, póki nie dostał się do niewoli. Nie przejmował się tem, co miało nastąpić. Równie dobrze mogło go to zbliżyć, jak i oddalić od powrotu do Polski. Zbyt wiele wysiłków już podjął w tym celu i zbyt wiele spotkało go zawodów. Los rzucał nim po całym świecie, wbrew zamierzeniom i planom. Poddał mu się i czekał. Zresztą leniwie budzące się jego zaciekawienie miało zostać wkrótce zaspokojone.

Kiedy wszedł do gabinetu majora, wszyscy już tam byli: gruby porucznik Bigh, ponury kapitan Wills, oraz werkmistrz, aspirant Highest. Komendant Mc. White chodził wielkiemi krokami po pokoju, założywszy w tył ręce. Za jego biurkiem, w głębokim fotelu siedział nieznany Konarskiemu oficer w zniszczonym mundurze, ze śladami długiej, męczącej podróży przez pełne kurzu i błota drogi chińskie.

Oficerem tym był angielski attaché wojskowy z Lan-Czeu-Fu, stolicy prowincji Kan-Su, który przybył tu w drodze do Nankinu, w jakiejś ważnej misji dyplomatycznej.

Konarski przyjrzał mu się uważniej, kiedy twarz jego wychyliła się na chwilę z cienia. Ciemna cera tej twarzy i trochę skośne oczy mogły nasuwać skądinąd dziwne przypuszczenie, że człowiek ten nie jest czystej krwi Anglikiem. Wyglądał raczej na mieszańca i tylko mundur z naszywkami kapitana mówił o jego bezwzględnej przynależności do „neutralnej" nacji angielskiej w tym kraju. Nazwisko oficera też brzmiało dziwnie: — Hooling, Mr. Hooling — tak przedstawił go przybyłym komendant garnizonu.

— Kapitan Hooling nie będzie mógł dotrzeć ani Wszyscy dobrze o tem wiemy, jak usposobione są wojska południowe dla Anglików, a wiadomości, przywiezione przez pana kapitana, potwierdzić mogę tylko to nasze mniemanie. Niech pan spojrzy, Highest, czy nikogo niema za drzwiami — powiedział stłumionym głosem, zwracając się do aspiranta.

Dopiero po wykonaniu polecenia przez tego ostatniego mówił dalej:

— Okazuje się, że i tu, w Czang-Ha, nie wszystko jest w porządku. Dziś wykryliśmy organizację dywersyjno-szpiegowską, która działała na korzyść „Chrześcijańskiego generała" i Czang-Kaj-Szeka. Mam pewne dane, że nawet wśród służby jest wielu szpiegów, a nie jestem wcale pewien, czy w tej chwili nas nie podsłuchują. Myślę, że raczej tak. W każdym razie, wszystko o czem się tu mówi, dostaje się w jakiś tajemniczy sposób do wiadomości osób niepowołanych. Wracając do rzeczy — kapitan Hooling przywiózł oryginał tajnego układu, jaki stanął między przedstawicielstwem władz angielskich a rządem zjednoczonych prowincyj Kan-Su. Jest rzeczą konieczną, aby traktat ten możliwie do Pekinu, ani do Nankinu — mówił White. — jak najprędzej otrzymał nasz ambasador w Nankinie. Zdecydowałem użyć do tego celu wszystkie samoloty eskadry. Panowie trzej wystartujecie o wschodzie słońca w różnych kierunkach i różnemi drogami postaracie się dotrzeć do Nankinu. Uprzedzam panów, że chińczycy rozporządzają już teraz kilku eskadrami lotniczemi, a więc—że prawdopodobnie zostaniecie zaatakowani w powietrzu. Nie należy wdawać się w walkę: zbyt ważną misję macie do spełnienia. Nie wiem, czy wszyscy dolecicie do Nankinu. Pamiętajcie, że *dolecieć trzeba.* Każdy z was od chwili opuszczenia tego pokoju, będzie z pewnością śledzony przez zdecydowanych na wszystko krajowców. Dla utrudnienia ich orjentacji, każdy z was otrzyma zapieczętowaną kopertę. Jedna z tych kopert zawiera papiery, o które chodzi. Otrzyma ją... naturalnie otrzyma ją jeden z panów. Wszyscy wręczycie swoje koperty natychmiast po przybyciu na miejsce generałowi Lancaster, który jest komendantem garnizonu w Nankinie.

Koperta, którą otrzymał Konarski, niczem nie różniła się od dwóch pozostałych. Była zrobiona z grubego żółtego papieru i opieczętowana w kilku miejscach. Wewnątrz można było wyczuć palcami złożony pergamin.

— Nie zapisany, oczywiście — pomyślał Konarski. — Nie mnie przecież powierzono właściwą kopertę.

I nagle poczuł żal o to do wszystkich: do obu pilotów, którzy niewątpliwie uważali go za człowieka mało pewnego, jeśli już nie podejrzanego, i do majora White'a, który wprawdzie traktował go na równi z anglikami, ale z pewnością też mu nie dowierzał, i do konsula Folkestona za brak inicjatywy w zacieśnieniu zanjomości, co wzmocniłoby pozycję Konarskiego w eskadrze. Otrzymany rozkaz wydał mu się bezsensownym: irytowało go, że kazano mu przed sobą samym grać komedję. Nie mógł przecież wmawiać w siebie, że on jest tym, na którego padł wybór White'a. A jednak musiał tak działać, jakby był tego właśnie zupełnie pewien.

— Nie będę się przejmować zbytnio — pomyślał. Ale natychmiast zmienił postanowienie: trzeba było pokazać teraz anglikom, jak należy spełnić ryzykowną misję, choćby nie miała ona żadnego znaczenia. Trzeba było *dolecieć do Nankinu i nie dać się zabić.*

Instynktownie odwrócił głowę, aby sprawdzić czy nie jest śledzonym. Ale uliczka, zatłoczona małemi domkami o nierównomiernie wystających węgłach, zdawała się zupełnie pusta. Gdzieniegdzie tylko mętnie świeciły papierowe szybki herbaciarni, kołysał się na jakimś rogu brudny, pełgający lampion, a na małym placyku przed domem White'a drzemał, siedząc na swym wózku, zmęczony całodzienną pracą, riksza.

Do świtu pozostało zaledwie półtorej godziny i Konarski, przechodząc obok rikszy, zawahał się przez chwilę, czy nie kazać zawieźć się do swego odległego o dobre dwa kilometry mieszkania, aby zdążyć na czas. Już zdecydował się jednak iść pieszo, gdy nagle postać muskularnego właściciela wózka drgnęła i szybkobiegacz zbudził się.

— Pozwól sobie usłużyć, czcigodny Panie Zachodu — wymamrotał, zginając się w czołobitnym pokłonie, aż zatrzeszczały stawy, ściągnięte potężnemi mięśniami. — Nie kalaj swych stóp brudem nędznej ulicy i zechciej zająć miejsce. Aleja Kwitnących Migdałów, dom Peku, czy tak?

Tak — potwierdził Konarski. — Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

Riksza uśmiechnął się tajemniczo.

— Obowiązkiem niskiego twego sługi jest zgadywać życzenia twoje, panie.

— Czy znasz także moje nazwisko?

— Jest ono mianem tak świetnego rodu, że nie zdołają go wymówić usta nędznego kulisa — brzmiała odpowiedź.

Konarski usiadł i wózek potoczył się szybko przy odgłosie tupotu sandałów chińczyka. Wchłonęła ich garbata, poszczerbiona tu i owdzie ciemność zaułków z zawieszonym skośnie nad spiczastemi dachami sierpem księżyca.

— Polecę między górami w stronę jeziora Tung-Ting — myślał Konarski. — Tam doliny są najdłuższe i najmniej zdradliwe. Przetnę Szang-Kjang i będę miał ze 350 km, do Jan-Tse-Kjang. Potem... aha, potem na północ zobaczę jezioro Taj-Ping-Fu, o ile będzie możliwa pogoda, ma się rozumieć Ba, pogody nie będzie pewno: od dwóch tygodni zaczęły się deszcze. Jeżeli uda mi się wyjść na rzekę, jestem w Nankinie. Właściwie może nie tyle w Nankinie, ile w Nian-King-Fu — kombinował dalej. Ale to prawie to samo. Powinna tam stać nasza eskadra wywiadowcza. Zresztą, stamtąd już tylko 240 km. do Nankinu. Jeżeli nie... jeżeli zabłądzę...

Myśl urwała się nagle i wróciła do zapieczętowanej koperty. Miał ją głęboko ukrytą na piersi. Nie, z pewnością nie zawierała nic ważnego. A jednak nie pozwoliłby jej sobie wydrzeć inaczej, jak wraz z życiem.

— Życie za bezwartościowy arkusz papieru — uśmiechnął się.

— Wszystko — za nic!

To przeświadczenie mogło tylko utrudnić walkę. O ileż łatwiej jest ginąć, mając świadomość, że ginie się w obronie czegoś, co rzeczywiście istnieje!

Tu jednak wcale nie chodziło o to, aby zginąć. Uświadomił to sobie po raz drugi i nagle przyszło mu na myśl, coby też było, gdyby sam tylko dotarł do Nankinu.

— To byłby znakomity kawał — pomyślał. — Ale w obu wypadkach wysiłek nie opłaca się: albo zginę i nikt się o to nie zatroszczy, albo dolecę, a jeśli zginą tamci i tak nikomu nic z tego nie przyjdzie. W każdym razie głupia sytuacja: „wystawili mnie ogonem do wiatru". Jedyna pociecha, że nie tylko mnie samego: jest nas takich conajmniej dwóch.

Usiłował odgadnąć, który też z anglików otrzymał właściwą kopertę: Wills czy Bigh? Obaj mieli jednakie szanse: obaj byli obwieszeni orderami, jak choinki na Boże Narodzenie, i obaj dostatecznie głupi, aby wykonać rozkaz, nie zastanawiając się nad tem, czy to coś pomoże, czy nie. Ot, przeciętni angielscy oficerowie lotnictwa, którzy są — jak wiadomo — znakomitym materjałem na bohaterów w czasie wojny: żaden nie posiada dość wyobraźni, aby się bać. Ginęli tacy chmarami na francuskim froncie, albo brali krzyże, jeżeli los był dla nich łaskawy...

Plaskanie sandałów biegnącego rikszy zwolniło tempo. Wózek zatrzymał się przed kwaterą Konarskiego. Pilot wysiadł i, rzuciwszy chińczykowi monetę, rozejrzał się raz jeszcze dokoła.

Pusto było i ciemno. Księżyc, zaczepiwszy rogiem o skraj ciężkiej, popielatej chmury, wbijał się w nią powoli, aż utonął tam bezpowrotnie. Zwaliła się na niego grubem, pękatem cielskiem i pociągnęła za sobą całe mnóstwo innych, sunących od wschodu z podmuchem wilgotnego mussonu.

Stojąc tak z nogą na stopniu schodów, prowadzących do ganku przed drzwiami, Konarski nie zauważył, że riksza który go przywiózł, zbliżył się i stanął tuż obok. Spostrzegł go, kiedy już miał odwrócić się i wejść na górę. Mimowoli odskoczył w bok i machinalnie sięgnął po rewolwer. Opanował się jednak natychmiast.

— Czego chcesz jeszcze? — zapytał ostro.

Kulis uśmiechnął się tajemniczo. Przystąpił o krok bliżej i zaczął mówić prawie szeptem.

Konarski z początku nie mógł zrozumieć o co mu chodzi. Wreszcie zaczął pojmować. Był tak zdumiony tem co mu proponowano, że dopiero po chwili odczuł zniewagę. Właśnie wtedy, gdy mniemany kulis sięgnął do sakwy na piersiach, aby poprzeć swoje wywody grubym zwitkiem banknotów.

Rozległ się głośny policzek, wymierzony ręką białego, a potem jeden po drugim: błysk noża w ręku krajowca i rewolweru wyszarpniętego z kieszeni przez pilota. Gruchnął strzał, odpowiedział mu okrzyk bólu.

Potem zatupotały nogi w sandałach i — gdzieś dalej — rozległ się gwizdek patrolu. Nadbiegł podoficer rontowy z dwoma ludźmi. Ale riksza był już daleko; został tylko jego wózek.

(C. d. n.).

Rozrywki umysłowe

REKONSTRUKCJA KWADRATU MAGICZNEGO.

S				P
	R		S	
		P		
	S		K	
P				Ć

W puste kratki wstawić dowolne litery tak, aby utworzył się kwadrat magiczny.

ANAGSAMOzLOGOGRYF.

(Ul. M. Stawnicki).

g	ł	o	b	k	i	n	o
t	a	c	e	l	i	n	a
t	u	w	i	s	z	n	a
j	e	l	e	n	i	d	a
a	r	t	y	m	i	o	n
d	ł	a	z	i	e	m	i
k	l	e	p	u	s	i	a
p	r	u	n	i	t	a	s
h	a	f	m	e	z	o	n
w	y	d	r	o	p	o	r
t	o	p	a	t	i	u	s
i	n	h	o	ł	y	s	z
k	r	z	e	s	i	n	a
s	z	y	l	i	n	e	k
n	o	m	i	n	i	k	a
s	o	n	d	a	n	t	i

Litery w poszczególnych rządkach poziomych upo rządkować tak, aby dały wyrazy którycb początkowe i końcowe litery z góry na dół czytane utworzą rozwiązanie (dwa imiona i nazwiska).

ZNACZENIE SŁÓW.

1. Kula ziemska.
2. Port w Hiszpanji.
3. Przynoszący wieści.
4. Inaczej niematerjalna (2 przyp.).
5. Mnich.
6. Światopogląd niematerjalistyczny.
7. Lekarze.
8. „Święty“ starzec.
9. Twórca języka międzynarodowego.
10. Przywódca.
11. Marzący o nieziszczalnem.
12. Miasto na Polesiu.
13. Trucizna.
14. Zewnętrzny koniec osi u wozu.
15. Zwolennicy X-ej muzy.
16. Półwysep azjatycki.

ŁÓŻKO SZARADZISTY

(z klubu na Miodowej).

W mieszkaniu pewnego szaradzisty nie było łóżka. Zapytany, na czem sypia, odpowiedział: „sypiam na trzech literach“.

ROZWIĄZANIE

1) na *Ka* na *P i E* = KPE

2) na π (na piernacie) = π RĆ.

S Z A C H Y

I. Gross

I n. Bristol Times 1928/II

	a	b	c	d	e	f	g	h	
8						♗			8
7	♝	♟	♕						7
6	♝					♙			6
5				♘		♟	♛		5
4	♟			♚			♟		4
3	♞		♘		♖				3
2		♙	♙			♙			2
1			♔						1
	a	b	c	d	e	f	g	h	

Mat w 2 posunięciach

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Jerzemu Mierz. „Szyldów“ nie zamieścimy.

N A G R O D Y

Za rozwiązanie zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania 5 nagród w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 17 stycznia b. r.

Rozwiązanie zadań z Nr. 47:

ZADANIE KONIKOWE

Pamiętajcie głosować w konkursie dziecka.

BILETY WIZYTOWE

Kuśnierz

Hydraulik

Sekretarka

Przyrodnik

Kapelan wojskowy

Starosta powiatowy

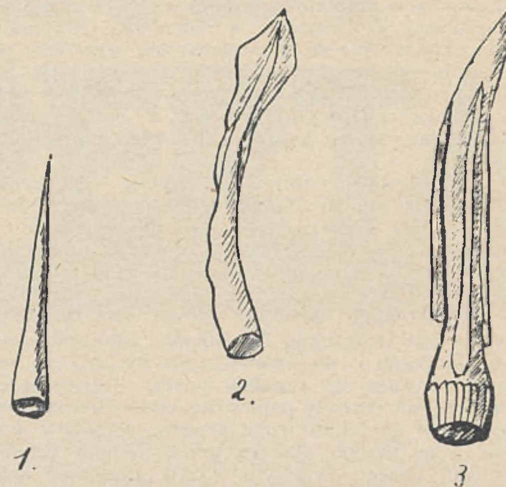
Komendant miasta

N A G R O D Y

Za rozwiązanie zadań z N-ru 47 otrzymują (w wyniku losowania) p. Fedzia Tadeusz, Lwów, Czarnieckiego 30; Bronisława Hamkiewiczówna, Biała Podlàsku, Brzeska 20, K. Malinowski z Warszawy, Halina Kayowa z Warszawy, Maciej Szacsznaider z Warszawy.

Amor i psyche w skorupie.

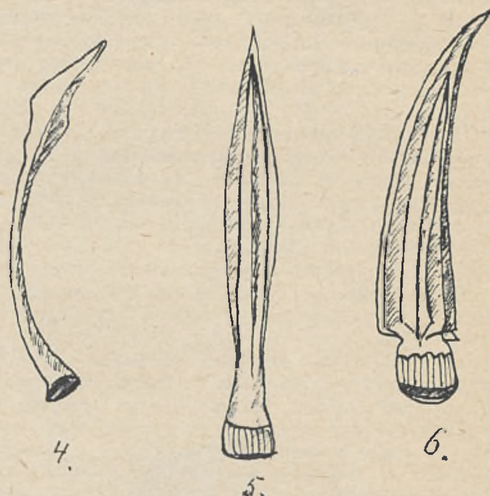
„Padł ugodzony słodką strzałą amora“. Jakże często spotykamy te słowa w dawnych sentymentalnych romansach, których heroiny mają zazwyczaj wysmukłą „kibić“, notabene dobrze opancerzoną gorsetem... Jakże często spotykamy na różnych bombonierkach, papierze listowym i wachlarzach naszych prababek owego mitycznego złoczyńcę w postaci różowego, złotowłosego chłopczyka, wyposażonego we wcale fotogeniczne skrzydełka i dźwigającego przy pulchnym boczku niezgorszy kołczanik.



Okazuje się jednak, że kołczan i strzały miłosne nie są bynajmniej legendą, wylęgłą w głowach autorek „Walerji“ i „Klelji“. Przyrodnicy wiedzą doskonale, że nosicielami kołczanu, zaopatrzonego nieraz bardzo obficie w strzały z wapnia są... ślimaki.

Jest faktem powszechnie wiadomym, iż większość naszych zwykłych ślimaków, jak np. *Cepea hortensis, Cepea nemoralis, Cernuella Virgata, Chilotrema lapicida* i t. p., to istoty dwupłciowe. Jasnem jest również, iż owe androgyniczne stworzonka nie mogą same siebie zapładniać. Musi więc nastąpić połączenie się z drugim osobnikiem, a ponieważ każdy ze ślimaków jest samcem i samiczką jednocześnie, kopulacja odbywa się na zmianę.

Znany w tej dziedzinie przyrodnik niemiecki, Dr. F. Haas, twierdzi, że zabawy miłosne tych flegmatycznych i „ślimaczących“ się stworzeń trwają całemi dniami. Żeńska połowa każdego egzemplarza jest zaopatrzona w woreczek, zawierający od 1 do 4 t. zw. „strzał miłosnych“ z węglanu wapnia. Strzała taka — *Gypsobellum* — wysuwa się podczas zalotów z woreczka i wpija się w bok partnera, podniecając go tem erotycznie. Jeśli strzała nie napróżno została wyrzucona z kołczanu, wówczas nie pada, łamiąc się na ziemię, lecz pozostaje w boku amanta.



Rozmiary *Gypsobellum*, zależnie od gatunku ślimaka, wahają się od 1.5 do 6 mm. i przybierają rozmaite kształty. Raz przypominają prawidłowe strzały, to znów zakrzywione jatagany lub ostrza starożytnych włóczni. Zużyte przez żeńską połowę ślimaka podczas zalotów, tworzą się na nowo bardzo szybko. Najpierw pojawiają się w kołczanie samiczki, jako cieniutkie igiełki, które, rosnąc prędko, dochodzą do właściwej każdemu gatunkowi formy, przyczem rękojeść tworzy się dopiero pod koniec owego procesu.

Któżby przypuścił, że nasze zwykłe, poczciwe ślimaczki są aż tak „demonicznemi“ istotami! Podanie o srogim bożku miłości, o jego niebezpiecznym łuku ma więc zupełnie realne podstawy. Kto wie, czy już w głębokiej starożytności, jaki poeta nie dowiedział się o tem od ówczesnych przyrodników. I czy w ten sposób nie powstała pierwsza wersja poetycka o amorze. *Dr. E. S.*

10 LAT POKOJU

(Ciąg dalszy ze strony 6)

POWSTANIE W SYRJI.

Również w Syrji, Francja jest zmuszona walczyć z powstańcami. Sułtan Atrach-Pasza organizuje powstanie Druzów, zadając kilka klęsk wojskom francuskim. Do Druzów przyłączają się inne szczepy arabskie, oraz miasto Damaszek. Generał Sarraille jest zmuszony zdobywać Damaszek, bombardując go kilkakrotnie. Dopiero w grudniu francuzi stają się panami położenia.

WOJNA IBN SAUDA Z ANGLJĄ.

Wojowniczy król Ibn Saud rozpoczyna w Arabji wielką akcję przeciwko Anglikom. Pierwszą jego ofiarą jest król Ali, ojciec króla Feisala z Iraku, pan na Hedżasie. Ibn Saud zdobywa w styczniu miasto portowe Dżiddę, a następnie większą część Transjordanji, pozostającej pod protektoratem Anglji. Zajęcie dwóch, świętych dla Muzułmanów, miast, Mekki i Medyny, koronuje powstanie Ibn Sauda, zadając w ten sposób wielką dla Anglji klęskę polityczną.

1926

Rok ten przynosi klęskę powstaniu Riffenów. W marcu Abd el Krim ponawia swoją ofenzywę Wojska francusko-hiszpańskie liczą prawie 200.000 żołnierza. Ofenzywa zostaje rozbita. Abd-el-Krim kapituluje, oddaje się w ręce Francuzom, którzy deportują go na wyspę Reunion.

1927-28

Przez całe te dwa lata toczą się coraz krwawsze walki pomiędzy północnemi i południowemi prowincjami Chin.

1929

BOLIWJA PRZECIW PARAGWAJOWI.

Zatarg pomiędzy temi dwoma republikami południowo-amerykańskiemi wynikł o pustynne obszary Gran Chaco. Dwie wrogie armje stoczyły szereg bitew, które kosztowały tysiące zabitych i rannych.

Konflikt poddano pod rozstrzygnięcie Lidze Narodów.

WOJNA SOWIECKO-CHIŃSKA.

Pomiędzy Sowietami i Chinami wynikł konflikt o kolej wschodnio-chińską. Obie strony twierdzą, że jest to tylko powikłanie stosunków dyplomatycznych. W rzeczywistości na całej granicy chińsko-sowieckiej toczą się zażarte i krwawe walki, których rezultatu i skutków z góry określić nie można.

*

Oto krótka i pobieżna statystyka pierwszego dziesięciolecia pokoju. Zawarty ostatnio pakt Kelloga, w niczem nie przeszkadza, by powaśnione państwa brały się za łby i toczyły rzeki krwi. A może to jest tylko trening, ażeby nie wyjść z formy i być przygotowanym do następnej światowej wojny, której wybuch nie jest przesądzony.

W każdym bądź razie aniołek pokoju, królujący obecnie nominalnie nad całym światem, musi się dobrze opancerzać na swym tronie, aby nie być postrzelonym. *(g)*

TEATRY

Wielki: dn. 9-go bm. „Casanova", dn. 10 bm. „Ijola", dn. 11 bm. „Borys Godunow", dn. 12 bm. „Dama Pikowa", dn. 13 bm przedstawienie zawieszone, dn. 14 bm. „Ostatni Pierrot, Kleks, Serduszko".

Narodowy: dn 9, 10 i 11 bm. „Kres wędrówki". Od dn. 12 bm. „Bal w obłokach".

Letni: dn. 9 bm. „Panna z Dyplomacji". Od dn 10 bm. „Książę Małżonek".

Nowy: codziennie „Adwokat i Róże".

Polski: codziennie „Rywale".

Mały: codziennie „Czarujący Emeryt".

Ateneum: codziennie „Podhale tańczy".

Morskie Oko: Codziennie rewja p. t. „Cała Warszawa".

Music-Hall „Orpheum" codziennie wielki program inaguracyjny.

Cyrk: codziennie walki francuskie

Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Głosuję na dziecko Nr. ....

Imię i nazwisko głosującego: ....

....

Adres: ....

....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

Kupon ważny w przeciągu dni 8 od ukazania się numeru niniejszego w sprzedaży

KINA

Palace: „Łzy ukojenia". *Stylowy:* „Białykapitan". *Capitol:* „Najparadniejsza Parada". *Casino i Filharmonja:* „Arka Noego".

Pan: „Anastazja". *Światowid:* „Upadły Anioł". *Splendid:* „New-Jork w nocy". *Wodewil:* „Djabeł". *Quo Vadis:* „Marzenia baletniczki.

Tęcza: „Szampańskie życie". *Akropolis:* „Pierwsza miłość Kościuszki". *Hollywood:* „Halka". *Apollo:* „Grzechy ojców". *Colosseum:* „Ksieżna Tarakanowa".

JUŻ TYLKO

JEDEN TYDZIEŃ

dzieli nas od zakończenia głosowania na

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

Ostatni termin nadsyłania kuponów mija z dniem 15 stycznia 1930 r.

ZOFJA DROMLEWICZOWA

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

K.

KARJERA.

Karjera to przyszłość, która czeka każdego niemal bohatera filmu. Zwykle w pierwszym akcie widzimy skromnego chłopca, czyszczącego buty, nie martwimy się jednak wcale jego losem, chociaż biedak przymiera głodem, wiemy bowiem dobrze, że najpóźniej w trzecim akcie spotka swego nieprawego ojca, a w piątym zrobi oszałamiającą karjerę, wygrywając konkurs na najpiękniejszy projekt parlamentu i żeniąc się z córką miljonera.

To samo dotyczy kobiet.

Oto skromne dziewczątko sprzedaje przykładnie wędliny za ladą małego sklepiku. Nic nie szkodzi, nie należy się zrażać, że to są tylko wędliny, ta sama dziewczyna będzie za chwilę olśniewać swą urodą i inteligencją przechodzącego właśnie, przebranego księcia, który natychmiast wyrobi jej pierwszorzędną posadę u swego przyjaciela.

Karjera jest już prawie gotowa. Uboga sprzedawczyni wędlin ukazuje nam się w cudownych kreacjach mody, pracując jako modelka.

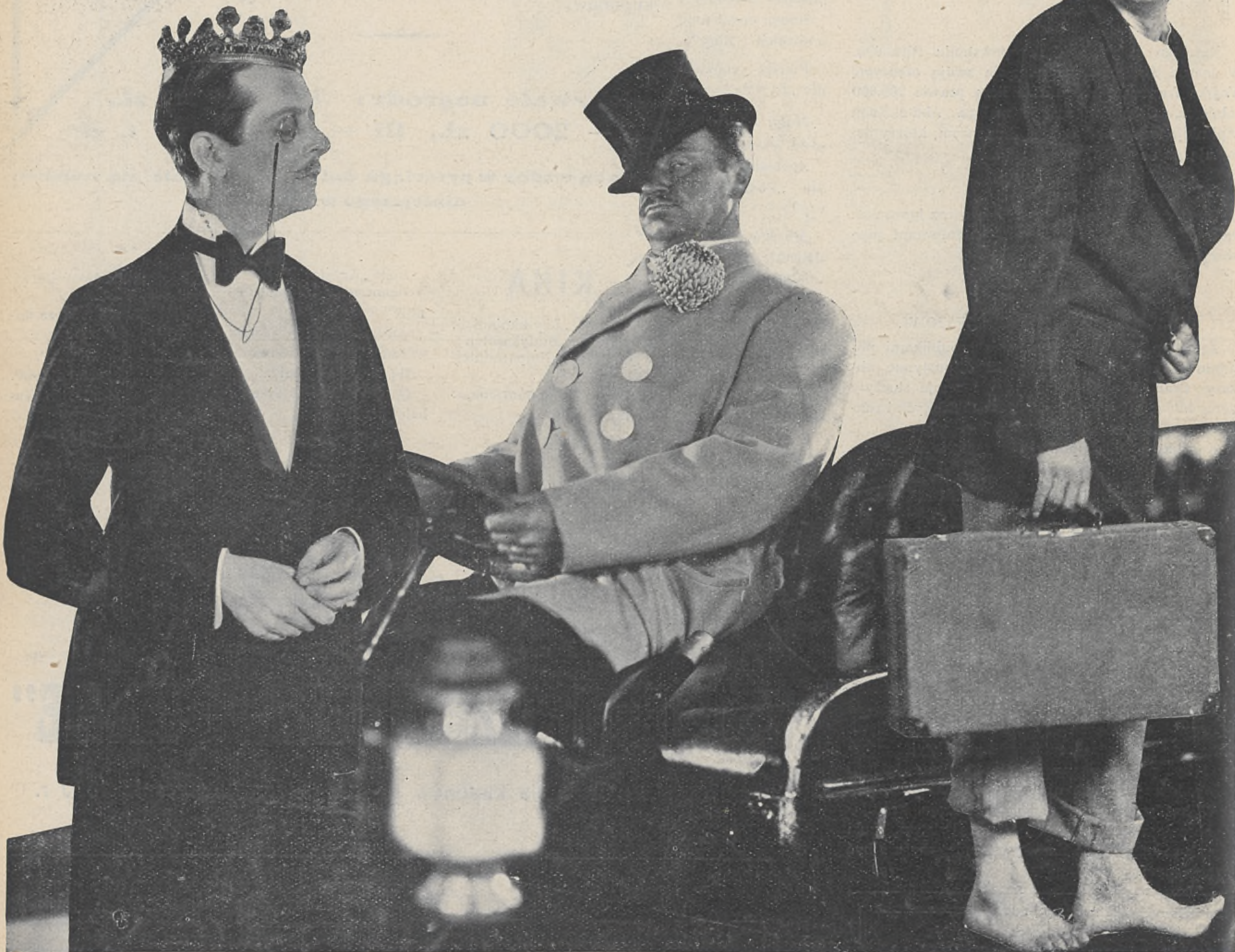
Lecz to nie wszystko jeszcze.

Przebrany a zdemokratyzowany książę pragnie godniejszej oprawy dla swej ukochanej. W tym celu otwiera wspaniały kabaret.

I oto ubogie dziewczę, doniedawna sprzedające wędliny, tańczy z niezwykłą wprawą, zachwycając wszystkich swoim talentem, umiejętnością, urodą i niedostępnością swej osoby.

Prawdziwa jednak karjera czeka ją dopiero w ostatnim akcie. Wówczas bowiem, pomimo oporu arystokratycznej rodziny, książę poślubia piękną tancerkę i tuli ją miłośnie do siebie.

A w ostatniej scenie widzimy bohaterkę, jak poprzez mgliste wspomnienia (wędliniarnia, zła macocha, magazyn z umizgającym się szefem, piękne stroje i zakulisowe brudne intrygi) spogląda ze łzami w szlachetnych oczach na kołyskę, w której spoczywa jej dziecię, jej książęce niemowlę.



(fot. Metro, Fox, Universal).

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI — Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN — Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.